

TATERNIK



2

1978



TREŚĆ

A w Tatrach rewolucja... (A. Skłodowski)	49
Wyprawa w Góry Sw. Eliasza (M. Malatyński)	50
Na dachu Alaski (M. Zachariasiewicz)	52
Zgrupowanie „Pamir 1977” (J. Milewski)	53
Lahul 1977 (M. Konecki i P. Nowacki)	56
Kangchendzōnga Południowa zdobyta! (A. Skłodowski)	57
Baintha Brakk — poznanie i zdobycie (Z. Kowalewski)	58
Chris Bonington odpowiada na pytania Marka Brniaka	59
Świat szklanych gór (K. Lang)	61
Zimowy obóz pod Eigerem (J. Skorek)	63
32 dni w ścianie Eigeru (M. Šmid)	65
Północna ściana Matterhornu zimą (W. Rutkiewicz)	66
Macie dwa dni pogody... (I. Kęśówna)	69
Grań Tatr Wysokich ćwierć wieku temu (S. Biel)	72
Świstowa Grań od północy (J. Pechouš)	74
Prusiki, mały, gibbsy (T. Solicki)	75
To już 75 lat (J. Nyka)	77
W jaskiniach Iranu i Libanu (J. Baryła)	78
Krajowy rok jaskiniowy 1977 (W. Wiśniewski)	79
Lamprechtsofen — rekord pobity (A. Ciszewski)	82
Co nowego w Tatrach?	85
Nowe drogi w Tatrach	86
Różne góry, różne lata	88
Wyprawy w góry egzotyczne	89
Jaskinie i speleologia	90
Sprzęt i ekwipunek	91
Wypadki i ratownictwo	93
Więści organizacyjne	93
Z piśmiennictwa	95

Na okładce: Baintha Brakk (Ogre) od południowego zachodu. Z lewej strony przełęcz zachodnia, z trzech wierzchołków głównym (7285 m) jest środkowy. Widoczny w środku zdjęcia filar (kant) stanowi piękny problem sportowy.

Fot. Christian Bonington

Zdjęcie obok: Na polach lodowych północnej ściany Matterhornu

Fot. Wanda Rutkiewicz

TATERNIK

A w Tatrach rewolucja...

Minął kolejny zimowy sezon, którego „gwoździe” stanowiły przejścia północnych ścian Matterhornu (nasze znakomite Panie) i Eigeru, a także ambitna próba na Civetcie. Osiągnięcia te otrzymują wyczerpujące omówienie na łamach tego numeru „Taternika”, ja natomiast chciałbym podzielić się z Czytelnikiem kilkoma refleksjami, które nasuwa mi obserwacja kilku ostatnich sezonów letnich i zimowych w naszych domowych górach, Tatrach.

Przywykliśmy już do tego, że każde lato czy zima przynoszą tu coś nowego a każda generacja taterników „staje poprzednikiem na głowie”, jak obrazowo wyraził się jeden z kolegów. Jest to normalne i oczywiste — na tym polega wszelki postęp, także w naszym sporcie.

Jednak to, co można obserwować w ostatnich latach w Tatrach jest nie tylko — tak mnie się przynajmniej wydaje — „stawaniem poprzednikiem na głowie”. Nie należy używać dużych słów, ale styl wspinania się dużej grupy najmłodszych (a już doświadczonych!) kolegów zastępuje na miano prawdziwej rewolucji. Drogi, o których zimowych przejściach kiedyś przemyślano całe lata i które „padały” nierzadko po długich obleżeniach — dziś są pokonywane w takim czasie i w takim stylu, że w pierwszej chwili trudno uwierzyć, iż jest to w ogóle możliwe.

Przykładem może być tegoroczne marcowe przejście Wielkiego Komina na Małym Młynarzu w 5 godzin, czy zaledwie kilkunastogodzinne przejścia najtrudniejszych dróg na Kazalnicy, w tym także nowej drogi. To prawda, że mieliśmy efektowne przejścia także w dalszej przeszłości. Jakże często jednak były one wynikiem parodniowego lata w marcu czy kwietniu. Tymczasem dziś najpoważniejsze problemy atakuje się w warunkach, które przed kilkoma laty uznane by były za bardzo niekorzystne, a przed kilkunastu laty — za uniemożliwiające wspinanie. Trzeba przy tym pamiętać, że czas przejść nie

jest bynajmniej „śrubowany” kosztem asekuracji, a także o tym, że wielkie przejścia nie są udziałem jednego zespołu w sezonie, lecz znacznej liczby taterników. Swego rodzaju ukoronowaniem minionego sezonu tatrzańskiego, skupiającym w sobie wszystkie pozytywne wartości nowej szkoły wspinania, było zakopiańskie przejście wielkiej grani Tatr, stanowiące przy tym problemie chyba ostatnie słowo, jeśli chodzi o czas i o czystość stylu przejścia.

Innym pozytywnym zjawiskiem, jak najlepiej świadczącym o charakterze nowych prądów w taternictwie polskim, jest widoczne od paru lat stałe zmniejszanie się liczby nieszczęśliwych wypadków taternickich w Tatrach. Zespołów na ścianach jest coraz to więcej, trudnych interwencji GOPR coraz to mniej, na co zwraca uwagę Krystyna Sałyga w stałych omówieniach sezonów ratowniczych. W tendencji tej widziano zrazu szczęśliwy zbieg okoliczności, dziś jednak wiąże się ją raczej z wzrostem poziomu sportowego ogółu wspinaczy — ich lepszym wyposażeniem i pełniejszym przygotowaniem treningowo-kondycyjnym. Miejmy nadzieję, że najbliższe lata nie przyniosą nam rozczarowania w postaci nowej „czarnej serii”...



O sprawach tych zdecydowałem się napisać dlatego, że w listach do redakcji „Taternika”, które czytałem ostatnio, kilku kolegów wyraża pogląd — i moim zdaniem słusznie — iż cały nasz ruch w zbyt małym stopniu docenia zjawisko „rewolucji wspinaczkowej”, że zafascynowani wyprawami w Himalaje czy inne góry egzotyczne zbyt mało uwagi poświęcamy temu, co aktualnie dzieje się w Tatrach. A przecież dla każdego jest oczywiste, że dzisiejsi championi Kazalnicy i Małego Młynarza za rok lub dwa wejdą w Alpy, a za trzy lata — do kadry naszych wielkich wypraw.

ANDRZEJ SKŁODOWSKI

Wyprawa w Góry Św. Eliasza

Latem 1976 roku w Górach Św. Eliasza, na granicy Kanady i Alaski, działała Polsko-Amerykańska Wyprawa „Alaska 76”, zorganizowana przez KW Warszawa przy współpracy Alaska Alpine Club z College.

Duża odległość gór od Polski i związane z tym wysokie koszty transportu narzuciły wyprawie pewne szczególne założenia. Miała ona być wyprawą lekką, nadającą się raczej do prowadzenia działalności rekonesansowej, ale też odpowiednio wyposażoną do podjęcia w sprzyjających warunkach, próby rozwiązania poważnego problemu sportowego. Celem wyprawy miał być nie zdobyty południowy filar najwyższego szczytu tych gór, Mount Logan (6050 m, lub wg nowych pomiarów 5950 m), bądź też eksploracja dziewiczych wierzchołków. Na miejscu oparcie i pomoc, a także wzmocnienie małego zespołu polskiego miało zapewnić 2 do 3 alpinistów amerykańskich, oni też mieli w znacznej mierze partycypować w kosztach przelotu helikopterowego w głąb gór.

W skład wyprawy weszli Elżbieta Mischczak-Piekarczyk, Marek Malatyński, Jan Serafin, Bernard Uchmański (kierownik), Szymon Wdowiak (operator TVP), Krzysztof Zdzitowiecki oraz Marcin Zachariasiewicz, a na czas podróży — Franciszek Aromiński (kierowca).

Dojście do skutku ekspedycji, będącej wyprawą środowiskową, nieznacznie finansowaną przez macierzysty Klub, zawdzięczaliśmy naszej ogromnej pracy i życzliwości szeregu instytucji, które udzieliły nam pomocy materialnej lub też — w zamian za świadczone usługi reklamowe — ulg na przewóz uczestników i bagażu. Rozwiązanie problemu dojazdu z Polski do granic Alaski umożliwiły nam Polskie Linie Oceaniczne (ulga na przewóz bagażu do Montrealu i powrót z Nowego Jorku), Polskie Linie Lotnicze „LOT” (ulga na przelot do Toronto i powrót z Bostonu), Fabryka Samochodów Osobowych (wypożyczenie 3 samochodów Polski Fiat 125P) oraz Towarzystwo Handlu Zagranicznego DAL (pokrycie kosztów benzyny w podróży przez Kanadę i USA).

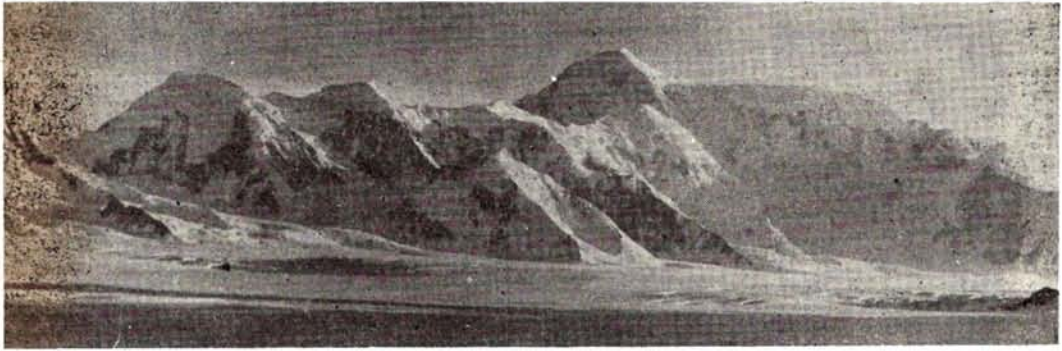
28 czerwca uczestnicy wyprawy przybyli do Toronto, gdzie serdeczną opieką otoczyli nas mieszkający tu Polacy, wśród nich p. Ludwik Krawczyk i mój stryj, Antoni Malatyński, działacz polonijny, któremu w dużej mierze zawdzięczaliśmy przygotowanie szlaku „gorących polskich serc”, prowadzącego nas przez Kanadę od Atlantyku do Pacyfiku. Cennej pomocy udzieliły wyprawie również konsulaty PRL w Montrealu i BRH w Toronto.

Planując podróż przez Kanadę w oparciu o skupiska polonijne, przygotowaliśmy program odczytów o polskich wyprawach w góry wysokie, o współczesnej Polsce, a także kilka filmów krajoznawczych i folklorystycznych. Po przyjeździe bagażu i samochodów do



Fot. Marek Malatyński

Stoją z lewej strony Carl Tobin i Marek Malatyński, z prawej — Bernard Uchmański i Jan Serafin. Siedzą od lewej: Szymon Wdowiak, Marcin Zachariasiewicz, Krzysztof Zdzitowiecki i Elżbieta Mischczak-Piekarczyk.



Od lewej: Jeanette Col, Mount Jeanette, dwa szczyty bez nazw (wszystkie trzy zdobyte przez zespół Uchmańskiego), Mount Newton, Mount St. Elias oraz niewysoki śnieżny trabant, również zdobyty przez wyprawę.
Fot. Szymon Wdowiak

Montrealu, ruszyliśmy na północ kolumną trzech samochodów, 17 lipca dotarliśmy do Haines Junction, siedziby Kluane National Park, na terenie którego leży kanadyjska część Gór Św. Eliasza. Tutaj nastąpiło spotkanie z pozostałymi uczestnikami wyprawy — Piotrem Skibą z San Francisco i jedynym, niestety, Amerykaninem, Carlem Tobinem.

Góry Św. Eliasza biegną przez pogranicze Kanady i Alaski, wzdłuż brzegów Pacyfiku. Od wnętrza kontynentu ciągnie się porośnięte roślinnością pasmo przedgórzy Kluane Range, dalej, aż do oceanu, rozpościera się nieregularne pasmo gór typu alpejskiego, zwane Icefield Range. Tworzą je oddzielone od siebie masywy i grupy górskie o wysokości bezwzględnej 4000 — 5500 m. Spływają z nich gigantyczne lodowce, Góry Św. Eliasza są bowiem największym na świecie obszarem zlodowacenia górskiego; powierzchnia spływających stąd lodowców przekracza obszar lodowców Himalajów, Karakorum i Andów razem wziętych; jeden tylko lodowiec podgórski Malaspina, do którego uchodzą śniegi i lody z południowej strony pasma, zajmuje ok. 4000 km kwadratowych.

24 lipca, zaopatrzeni w wypożyczoną stację nadawczą (obowiązujące wyposażenie każdej ekspedycji), przewiezieni zostaliśmy czterema lotami helikoptera na odległy o 150 km lodowiec Seward. Tutaj, na skalnej grzędzie u stóp południowego filara Mount Logan założona została baza. Rankiem następnego dnia ku podnóżom ściany wyruszyli 2 dwójki: Serafin ze Zdzitowieckim oraz Tobin z Malatyńskim. Rekonesans przyniósł niepomysłne wiadomości: ominięcie potężnej turni w filarze i wejście wprost w ścianę, skąd można by wtrawersować wyżej w filar, przekraczało nasze możliwości sprzętowe; inne, łatwiejsze partie ściany zagrożone były lawinami. Jedną z nich zesłała w trakcie obserwacji, zmuszając nas do ucieczki. Nie rezygnując jeszcze z atakowania Mount Logana, postanowiliśmy najpierw zdobyć kilka czterotysięcznych szczytów w śnieżno-lodowym murze, wznoszącym się po

południowej stronie lodowca. Wierzchołki te, według informacji otrzymanych w Kluane, były dotychczas dziewicze.

28 lipca opuściliśmy bazę i po męczącym marszu przez przeszło piętnastokilometrową szerokość lodowca Seward osiągnęliśmy późnym popołudniem siodło Jeanette Col. Następnego dnia zespoły Serafin i Zdzitowiecki oraz Malatyński i Skiba ruszyły na wspinaczkę granią na wschód, w kierunku Mount Bering i Mount Malaspina, zaś Uchmański z Tobinem i Piekarczykowa z Zachariasiewiczem — ku zachodowi, na Mount Jeanette i dalej w kierunku Mount Newton.

Zaplanowaliśmy wyjście na 2 — 3 dni, pozostawiając na przełęczy Wdowiaka. Pierwsza grupa po pokonaniu śnieżno-lodowego filara zdobyła 29 lipca Mount Bering (ok. 3550 m), a następnego dnia, wspinając się ostrzem śnieżnej, niezwykle eksponowanej i pełnej nawisów grani, osiągnęła mało wybitny szczyt, będący zwornikiem, któremu nadała nazwę Cornice Peak (ok. 3600 m). Dalsza wspinaczka ze względu na słaby śnieg, brak możliwości asekuracji i ogromną ekspozycję przekraczała granice dopuszczalnego ryzyka, 31 lipca powróciliśmy więc na przełęcz. Cały następny dzień spędziliśmy u jej podnóża, poważnie zaniepokojeni o grupę Uchmańskiego. Dzień później podeszliśmy z powrotem na przełęcz, przygotowując się do akcji ratunkowej. Dopiero następnego dnia, kiedy pierwsza dwójka ratunkowa rozpoczęła wspinaczkę, w dole na lodowcu dostrzeżliśmy czwórkę Uchmańskiego. Okazało się, że po zdobyciu Mount Jeanette (ok. 3600 m) zjechali przez szeroką szczelinę, co odcięło im możliwość powrotu, toteż zdecydowali się trawersować dalej granią, wchodząc na dwa kolejne, bezimienne wierzchołki (ok. 3650 m i ok. 3900 m), by dopiero stąd nadzwyczaj ryzykowną drogą zejść na lodowiec.

Po dniu spędzonym w bazie, na kolejny zwiad pod zachodnią poałą ściany Mount Logan wyszli Serafin i Zdzitowiecki oraz Uchmański i Zachariasiewicz. Niestety i tym

razem bez pozytywnego wyniku. Operacja słoneczna ubiegłych miesięcy wytopiła pokrywę śnieżną w górnych partiach lodowców pochodzących w pobliżu ściany i odsłoniła wiele szczelin, tak, że droga okazała się praktycznie nie do przejścia.

Po przeczekaniu 4 dni niepogody postanowiliśmy skierować się w otoczenie Mount Saint Elias (5488 m), by spróbować wejścia na ten szczyt oraz jego nie nazwany i prawdopodobnie nie zdobyty trabant (ok. 4000 m). 10 sierpnia we mgle i padającym śniegu założyliśmy obóz wypadowy w pociętym gigantycznymi szczelinami kotle poniżej północnej ściany Góry Św. Eliasza. 13 sierpnia wyruszyliśmy w ścianę dwójki Uchmański i Zachariasiewicz oraz Serafin i Zdzitowiecki, ale już po kilku godzinach ogromne lawiny, schodzące ścianą, zmusiły zespół do cofnięcia się. Następnego dnia wszyscy uczestnicy rozpoczęli wspinaczkę na trabanta Mount Elias: Serafin, Zdzitowiecki i Zachariasiewicz śnieżną ścianą wprost z kotła; pozostali, wraz z filmującym akcję Wdowiakiem — kuluarem na przełęcz w grani zbiegającej z „Eliasza” i dalej granią na jego trabanta. Pierwszy zespół nie napotykał na poważniejsze trudności szybko osiągnął wierzchołek. Nasz zespół drugi pokonał skomplikowaną szczelinę brzezną poniżej przełęczy. Dalsza droga granią a później stromym zalodzonym zboczem wymagała sztymnej asekuracji. Ponieważ wybrana przez nas droga nie wydawała się trudna, przeto powodowani poczuciem koleżeństwa zgodziliśmy się wziąć ze sobą Tobina, który poprzednio stracił jeden rak. Za tę pochozną decyzję przyszło nam teraz słono zapłacić. Pogarszała się pogoda, stale rosły trudności a do szczytu brakowało 400 metrów, gdy spotkaliśmy schodzącą z wierzchołka trójkę. Byliśmy skłonni rozdzielić się, by wraz z trójką zeszli do obozu Tobin i dwie inne osoby, lecz ostatecznie po

wymianie zdań ze schodzącymi ze szczytu, zmuszeni zostaliśmy do podjęcia decyzji wycofania całego zespołu.

17 sierpnia wszyscy znaleźliśmy się w bazie. Ocieplenie i związane z nim pogorszenie warunków śniegowych uniemożliwiło wykorzystanie ostatnich kilku dni i następne wyjście w góry. 21 sierpnia przyleciał helikopter, zabierając do Kluane Lake całe wyposażenie wyprawy i Piotra Skibę. Okres niepogody poświęciliśmy na zmontowanie z dwóch par nart oraz skrzyni toboganu. Wraz z nim i dwiema przywiezionymi akiami rozpoczęliśmy dzień później marsz powrotny przez lodowce Seward, Hubbard i Kaskawulsh, szlakiem o długości około 200 km.

Wyprawa nasza była pierwszą polską ekspedycją działającą w rejonie Mount Logan — Mount St. Elias. Brak w kraju danych topograficznych i szczegółowego rozpoznania masywu, niekorzystne usytuowanie bazy i wyniki stąd znaczne podejścia do innych gór poza Mount Loganem, ograniczyły możliwości naszego działania. Również nie najlepsza pogoda utrudniała lub uniemożliwiała przemarsze przez lodowiec Seward. Wartość sportową naszego zespołu pomniejszyły też z pewnością panujące w ekipie rozbieżności zdań co do zasad i środków bezpieczeństwa. W tej sytuacji zdobycie 6 wierzchołków, w tym — według informacji z Kluane — 5 nie zdobytych, można było uznać za wartościowe wyniki.

Przykra niespodzianka czekała nas pół roku później w kraju. H. Adams Carter, redaktor „American Alpine Journal”, poinformował PZA, że wierzchołki wznoszące się na zachód od Jeanette Col zostały przed kilkoma laty zdobyte, podobnie jak i trabant Mount St. Elias, który nazwano Windy Peak. Rangę pierwszych wejść utrzymały więc jedynie nasze wejścia na Mount Bering i Cornice Peak.

MARCIN ZACHARIASIEWICZ

Na dachu Alaski

Po wspinaczkach w Górach Świętego Eliasza w r. 1976, powróciłem na Alaskę z początkiem lata 1977, by wspólnie z Elżbietą Mischczak-Piekarczyk spróbować wejść na Mount McKinley — zachodnim żeblem, drogą poprowadzoną w 1951 r. przez ekspedycję amerykańską pod kierownictwem Bradforda Washburna.

Letni sezon alpinistyczny rozpoczyna się tu w maju, gdy szczeliny gigantycznych lodowców pokryte są jeszcze grubą warstwą śniegu i lodu. Celem naszym jest zdobycie najwyższego szczytu kontynentu. Choć szczyt ten ma „zaledwie” 6194 m, to biorąc pod uwagę wysokość względną jest jedną z najwyższych gór na świecie. Najwyższego sąsiada przerasta prawie o tysiąc metrów, a ponieważ jest od-

dalony o zaledwie 200 km od Pacyfiku, słynie z bardzo kapryśnej pogody. Drzewa rosną tu do wysokości 600 m, zaś powyżej rzędnej 1200 m rozpoczyna się kraina wiecznego śniegu. Północne położenie sprawia, że temperatury są tu dużo niższe od temperatur w innych wysokich górach świata. W czerwcu spadają one do minus 30°C, zaś huraganowe wiatry osiągają prędkość ponad 150 km na godzinę.

Te arktyczne warunki sprawiają, że pomimo braku specjalnych trudności wspinaczkowych na wielu drogach, wejścia nie są łatwe, a wierzchołek Mount McKinley przyciąga rokrocznie alpinistów z całego świata. Po wspinaczach amerykańskich i Japończykach „odkryli” go alpinści europejscy — nowe drogi poprowadzili Włosi, Francuzi i Anglicy.

W r. 1967 szczyt został zdobyty po raz pierwszy i jak dotąd jedyny zimą. W r. 1956 nastąpiła zmiana przepisów Parku Narodowego, umożliwiającą lądowanie awionetek na lodowcu Kahiltna, co spowodowało gwałtowny wzrost liczby wypraw. W ostatnich latach szczyt został dwukrotnie osiągnięty przez Polaków, my zjawiliśmy się pod nim jako trzeci.

Po wylądowaniu na Alasce ze skromnym ekwipunkiem, przy pomocy gościnniej alaskańskiej Polonii rozpoczęliśmy przygotowania: poszukiwanie sprzętu, kompletowanie żywności i załatwianie formalności w Parku Narodowym. Wreszcie 26 czerwca ruszyliśmy z Talkeetnej trzypersonowym Super Cabem — ponad tundrą na południowo-wschodnie rozvidlenie lodowca Kahiltna, gdzie na wysokości 2100 m założyliśmy naszą skromną bazę: jeden małeńki namiotek. Czekając na naszego ubiegłorocznego parntera, Carla Tobina z Fairbanks, wypróbowaliśmy część ekwipunku, którego brak w ubiegłym roku tak bardzo dał nam się we znaki: kanadyjskie rakietki śnieżne, sanie i lekkie narty biegowe, służące do poruszania się po lodowcu. Po trzech dniach Carl wylądował w bazie, skąd żegnani przez dobrego przyjaciela grupy śląskiej Raya Geneta, zdobywcę McKinleya zimą, wyruszyliśmy nocą w górę lodowca Kahiltna. W tym czasie na wysokości bazy zmrok trwał zaledwie 2 godziny.

Rozpoczęła się 8-dniowa przygoda 52-kilometrowego marszu lodowcami, w którego trakcie trzeba było pokonać ponad 4000 m różnicy wzniesień, dzielącej nas od szczytu. Od wysokości 3000 m wspinaczka nocą stała się niemożliwa, a to z powodu zimna (-25°C). Po-

mimo podwójnych butów nawet w ciągu dnia marzły nam stopy. Na wysokości 5000 m przetrzymaliśmy 12-godzinny huragan — w osiem osób w namiocie amerykańskich kolegów z Los Angeles. Jednego z namiotów nie udało się uchronić przed furją wichury, która zerwała go z grani. W tym miejscu zachodnie żebro wrasta w Windy Corner 300-metrową śnieżną ścianą. Część grupy amerykańskiej zrezygnowała z dalszej akcji, a dwaj koledzy oddali nam swoje specjalne buty, ratując nas w ten sposób przed niechybnymi odmrożeniami. Następnego dnia przeniesiliśmy po raz ostatni nasz obóz i dalej przez Przełęcz Denali 8 lipca weszliśmy na wierzchołek. Niebo było bezchmurne — najładniejszy dzień całego lata 1977 — widoczność aż po ocean, na niezmierzone górskie masywy z paroma tysiącami alaskańskich jezior wokół nas. Pomimo słońca, mróz i wiatr zmusiły nas do szybkiego zejścia z kopuły szczytowej. Jeden z dwóch towarzyszących nam Amerykanów, krańcowo wyczerpany wysokością, spadł kilkaset metrów w dół po stromym stoku śnieżnym, na szczęście odnosząc tylko zewnętrzne obrażenia. Sprowadziliśmy go nie bez trudu do wysokości 4200 m, gdzie wśród kolegów miał czekać na dalszą pomoc. My ruszyliśmy dalej w dół do naszej bazy i następnego ranka polecieliśmy z powrotem do luksusów willi w Brentwood.

Tu dopiero uświadomiliśmy sobie, że pokonaliśmy Mount McKinley — co prawda jedną z łatwiejszych dróg, za to w zaledwie trzypersonowym zespole i w rekordowo krótkim czasie 10 dni, zaś Ela była na tym szczycie pierwszą Polką.

JERZY MILEWSKI

Zgrupowanie „Pamir 1977”

Potęźny masyw górski otaczający Polanę Sułojewa, noszący nazwę Grzbietu Akademii Nauk ZSRR, zaczyna się od wschodu Pikiem Kommunizma i ciągnie się w kierunku zachodnim przez 6-tysięczne szczyty Kujbyszewa, Leningrad, Abałakowa, Borodino, Moskwa, XXX-lecia Państwa Radzieckiego, Oszanina i Rodionowa (mapki — zob. okładki T. 2/72 i 2/73). Wszystkie te wierzchołki zostały już zdobyte, dokonano też licznych przejść granicznych, lecz do lata 1977 r. potężna skalno-lodowa północna ściana łańcucha, zaczynająca się od Piku Leningrad i kończąca na Piku Rodionowa, pozostawała całkowicie dziewicza.

Najwyższą górą w tym masywie, poza Pikiem Kommunizma, jest Pik Moskwa (6785 m), którego północno-wschodnia ściana wznosi się nad Polaną Sułojewa podobnie, jak Mięguszowieckie Szczyty nad Morskim Okiem.

Ścianę tę bezskutecznie atakowało już kilka zespołów. Także PZA ma na koncie nieudaną pró-

bę: skierowano tam w r. 1976 ekipę sportową, która — w ramach międzynarodowego obozu „Pamir 1976” — miała dokonać przejścia ściany. Od 4 do 6 sierpnia 1976 r. Czesław Bajsarowicz, Jerzy Milewski (kierownik) i Zygmunt Zdrojewski przeszli dolną część prawego filara, po uprzednim zaporcęzowaniu 100-metrowego skalno-lodowego komina. Decyzję odwrotu podjęto po dojściu do zerw lodowych filara na podstawie oceny, że zasoby sprzętowe i siły zespołu nie wystarczają do pokonania ściany. Gorycz rezygnacji łagodziło przeświadczenie, że Komisja Sportowa PZA wyśle ponownie w ten rejon silniejszy zespół, celem dokonania naszej drogi.

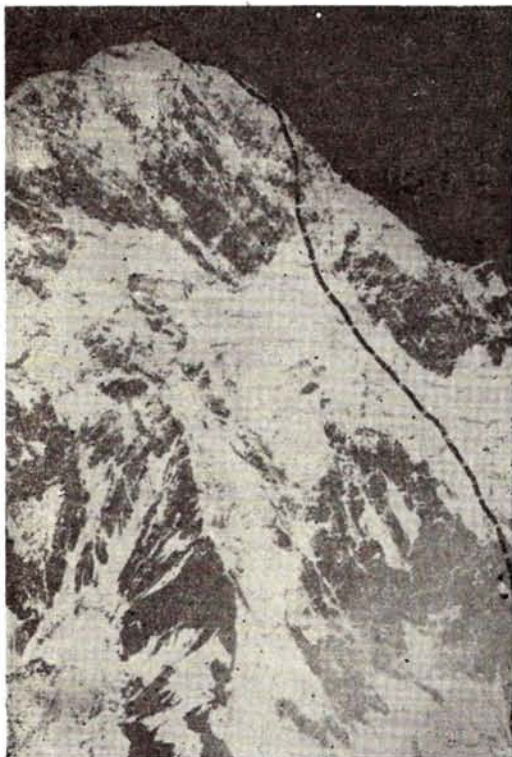
Oczekiwania spełniły się i zgrupowanie wychynowe PZA „Pamir 1977” zostało skierowane — w ramach międzynarodowego obozu Federacji Alpinizmu ZSRR — w rejon Piku Kommunizma, z bazą na Polanie Sułojewa i zadaniem przeprowadzenia ponownej próby przejścia ściany Piku Moskwa jej prawym filarem. Po przyjeździe na miejsce spotkało nas rozczarowanie. Okazało się, że „nasz” filar jest już zajęty przez reprezentacyjną ekipę ukraińskiego „Spartaka”. Co prawda Ukraińcy nie rozpoczęli jeszcze wspinaczki,

lecz sytuacji nie dało się odwrócić, gdyż ich wielka 40-osobowa wyprawa nastawiona była całkowicie na ten cel. Po niewczasie dowiedzieliśmy się, że Federacja Alpinizmu ZSRR mogłaby równie dobrze zarezerwować tę ścianę dla nas, lecz zgłoszenia należało dokonać przynajmniej w styczniu. Brak zrozumienia przez nas dla tej sprawy mógł doprowadzić do wątpliwej wartości „uzupełnienia” czystej walki sportowej zakulisowymi działaniami, co — niestety — tak często zdarza się w innych dyscyplinach sportu. Nasuwa się jednak refleksja: dlaczego „przegapiliśmy” okazję i nie wysyłaliśmy tam silnych ekip w poprzednich sezonach? Przecież już kilkadziesiąt Polaków przewinęło się przez Polanę Suojewa, tyle że wyłącznie w celu wejścia na Pik Kommunizma lub Pik Korzeniowskiej, aby „zaliczyć” wysokość a następnie pokazać „łwi pazur” w Alpach lub nawet w Kaukazie!

Wspinaczkę inną częścią północno-wschodniej ściany Piku Moskwa (np. lewym filarem) uznaliśmy za niecelową, gdyż byłaby to druga droga na tej ścianie, podczas gdy ściany innych gór opisywanego masywu pozostawały nie zdobyte. Dwie następne (po

Pik Moskwa (6785 m) z drogą zespołu ukraińskiego. Otwarty problem stanowi lewy filar ściany, liczący 2500 m wysokości.

Fot. Jiří Novák



Piku Moskwa) formacje w otoczeniu górnej części lodowca Fortambek, które zwracają uwagę, to północno-zachodnia ściana Piku Abałakowa oraz północno-wschodnia ściana Szczytu XXX-lecia Państwa Radzieckiego (Pik XXX-lecia Sowieckiego Gosudarstwa, 6447 m). Pik Abałakowa był także już zajęty — przez ekipę gruzińską, wobec czego wybór mieliśmy łatwy: Szczyt XXX-lecia. Wyprzedzając nieco chronologię opisywanych faktów, warto zwrócić uwagę na znamienne zjawisko: przez 20 lat eksploracji alpinistycznej otoczenia lodowca Fortambek koncentrowano się wyłącznie na Piku Kommunizma, aż tu nagle latem 1977 r. dokonano jednocześnie 3 pierwszych przejść najwybitniejszych ścian gór sąsiednich: Gruzini zrobili filar Piku Abałakowa, Ukraińcy — filar Piku Moskwa (6-osobową ekipą kierował Władimir Czerewko, czas wejścia 11 dni) i Polacy — filar Szczytu XXX-lecia.

Ostatecznie w dniach 2 — 8 sierpnia 1977 r. zespół w składzie Czesław Bajsarowicz, Walenty Fiut, Jerzy Milewski (kierownik), Ludwik Wilczyński i Henryk Zakrzewski dokonał systemem alpejskim, w dobrym stylu, pierwszego przejścia wybranej ściany — jej wybitnym centralnym filarem, który wyprowadza bezpośrednio na wierzchołek. Wspinaczka trwała 6 dni, przy czym siódmy biwak założono na wierzchołku, a pierwszy — na przełączce będącej najniższym punktem filara, tam gdzie łączy się on ze skalistym nunałkiem wyrastającym ze środka lodowca Turamys, nazywanym „łodzią podwodną”. Dojście z bazy na przełączkę od strony północno-zachodniej z lodowca Turamys, zajęło nam pół dnia. Przez pierwsze dwa dni wspinaliśmy się stromo w górę częściowo ostrzem, częściowo zaś prawą ścianą filara. Dalej średnie nastromienie filara nieco się zmniejsza, przy czym jego grań uformowana jest z kolejnych ogromnych bul lodowych. Na wysokości ok. 6000 m zanika on w stromej ścianie kopuły szczytowej góry. Do miejsca tego doszliśmy po kolejnych dwóch dniach wspinania. Również kopuła szczytowa zajęła nam 2 dni, a drogę nią poprowadziliśmy prosto w górę bardzo stromymi lodowo-śnieżnymi kuluarami, wśród ogromnych wiszących seraków, które nieustannie zagrażają wspinającym się. Pierwszy dzień wspinaczki w kopule przeznaczaliśmy na zaporeczowanie dolnej części, aby na noc powrócić do poprzedniego miejsca biwakowania i w ten sposób uniknąć ryzykownego biwaku w środku ściany. Droga kończy się na grani szczytowej w odległości paru metrów od wierzchołka, gdzie jest wygodne i bezpieczne miejsce na rozstawienie namiotu. Zejście było bardzo długie i zawikłane — straciliśmy na nie dwa i pół dnia.

Nasza droga ma charakter całkowicie lodowo-śnieżny i jest ryzykowna ze względu na stałe zagrożenie ze strony seraków. Według klasyfikacji radzieckiej, można ją zaliczyć do kategorii trudności 5B — 6, natomiast we-



Północno-wschodnia ściana Piku XXX-lecia Państwa Radzieckiego (6447 m) z polską drogą (Cz. Baj-sarowicz, W. Fiut, J. Milewski, L. Wilczyński i H. Zakrzewski, 2-8 sierpnia 1977). Oznaczono miejsca obozowania.

Fot. Ludwik Wilczyński

dług skali tatrzańskiej ma ona sporo miejsc i odcinków czwórkowych, parę wyciągów piątkowych i kilka lodowych przewieszek. Podczas naszego przejścia warunki śniegowe były złe; przy lepszych czas przejścia środkowej i dolnej części filara można by znacznie skrócić. W kopule szczytowej warunki były dobre. Kopuła ta jest możliwa do przejścia tylko przy mroźnej i niezbyt słonecznej pogodzie, gdy przez kilka kolejnych dni nie występują znaczniejsze dobowe wahania temperatury i nie ma częstych obrywów seraków.

Posługiwaliśmy się jednym 5-osobowym namiotem (radziecką „wysotką”), zawsze znajdując dogodne miejsca biwakowe. Pełna wysokość ściany wynosi ok. 2000 m, a poprowadzona droga jest jej direttissima.

Pik Moskwa znowu „obronił się” przed Polakami. Do naszego pierwszego spotkania z tą górą doszło w r. 1973, gdy Gdańska Akademička Wyprawa w Góry Wysokie, organizowana w Hinduksach, nie otrzymała zezwolenia z Afganistanu i przeniosła się tam, dokąd pozwoliły możliwości sprzętowe i czasowe, czyli w Pamir. Ze względu na ogromne trudności organizacyjne, w góry wyruszone bardzo późno i bazę założono dopiero w dniu 23 września 1973 r., a krótki rewanż wykazał, że żywności pozostało na około 3 tygodnie. Podjęto próbę wejścia systemem alpejskim na Pik Moskwa — od południa, z lodowca Gando, przez przełęcz Borodino, i dalej — wschodnią granicą na wierzchołek (5 kategoria trudności). Droga dojścia, prowadząca przez łańcuch Opte i Lodowiec Dorofiewa, zajęła 3 dni. W dniu 7 października 6 uczestników wyprawy osiągnęło na

wschodniej grani Piku Moskwa wysokość ok. 6400 m, gdzie podjęto decyzję odwrotu i likwidacji wyprawy. Do wierzchołka pozostało jeszcze około 1 dnia wspinaczki. Pośpiech podyktowany był nie tylko brakiem żywności, lecz głównie gwałtownym pogarszaniem się pogody, bowiem jesień w Pamirze Zachodnim następuje raptownie, a charakteryzuje się silnymi wiatrami i dużymi opadami śniegu. W wyprawie, której patronował wojewoda gdański Henryk Sliwowski, udział wzięli Krzysztof Aerts, Jan Babicz, Andrzej Bohosiewicz, Stanisław Czerwiński, Jarosław Dobas, Jacek Gronczewski (lekarz), Bolesław Jarosiński, Michał Kochańczyk, Janusz Kuliś, Jerzy Milewski (kierownik), Bogusław Polanowski, Wacław Serwa, Janusz Smólski i Jerzy Zieliński (zastępca kierownika).

W ostatnich latach daje się zauważyć, że dzięki działalności międzynarodowych obozów alpinistycznych Federacji Alpinizmu ZSRR, arena europejskiego — i nie tylko europejskiego — alpinizmu rozszerza się z Alp i Kaukazu coraz bardziej także na Pamir. W obozach tych bierze corocznie udział przeszło stu alpinistów z całego świata, a poziom sportowy ekip stale wzrasta. Atrakcyjność tych obozów polega na tym, że — dzięki użyciu transportu helikopterami i stałemu rozszerzaniu dostępnych rejonów — można tam prowadzić działalność sportową typu alpejskiego w górach wyższych od Alp o dwa kilometry. PZA powinien wziąć to pod uwagę i kierować w Pamir zespoły wyczynowe o największej bojowości i najwyższym poziomie sportowym.

Lahul 1977

Wyprawa została zorganizowana przez Mazowiecki Klub Górski „Matragona”. Udział w niej wzięli: Jan Andzelm, Maciej Gierałtowski, Marek Konecki, Antoni Koziorowski (lekarz), Bożena Lewandowska, Przemysław Nowacki, Andrzej Palczewski (kierownik organizacyjny), Andrzej Wachal i Andrzej Zboński (kierownik). Do zorganizowania wyprawy wydatnie przyczynił się Oddział PTTK „Mazowsze”, a w trakcie przygotowań dużą pomocą służyli nam prezesi tego oddziału, J. Żarowiak i M. Zochowski.

Terenem działania wyprawy była dolina Koa Rong w rejonie górskim Lahul. Jest ona boczną odnogą doliny Milang i rozciąga się na długości 15 km. Górna część, to dwa cyrki lodowe z kilkusetmetrowymi lodospadami, otoczone dziewiczymi szczytami o wysokości przekraczającej 6000 m. Z informacji uzyskanych od najlepszych znawców tego rejonu (Harnam Singha i Banona), a także z własnych zwiadów, oceniliśmy większość szczytów jako bardzo trudno dostępne. Opadają one w stronę lodowca skalno-lodowymi ścianami liczącymi po 1500 do 2000 m wysokości. Skala jest wyjątkowo krucha i źle uwarstwiona, istnieje stałe niebezpieczeństwo lawin kamiennych i lodowych.

Naszym początkowym celem był dziewiczy szczyt 6158 m, na który, według naszej oceny, najbezpieczniejsza droga prowadziła granią przez szczyt 5603 m. Niestety niesprzyjające warunki atmosferyczne oraz choroba jednego z członków grupy szturmowej zmusiły nas do

rezygnacji z atakowania tego sześciotysięcznika. Dolina, w którą weszliśmy, nie była do tej pory badana przez wyprawy, a próba wejścia do niej podjęta przez wyprawę amerykańską w r. 1976 skończyła się niepowodzeniem. Wszystkie inne wyprawy działały w dolinie Milang, dokonując wejść na najwyższy szczyt rejonu Lahul, Mulkilę (6517 m) — zdobyty w r. 1939 i mający do tej pory 5 wejść.

Rejon Lahul, położony już w Himalajach Zachodnich, nie jest bezpośrednio narażony na uderzenia monsunu, który dociera tu w formie osłabionej. Zazwyczaj w drugiej dekadzie lipca następuje zmiana pogody. Zaczynają się opady deszczu, a w wyższych partiach śniegu. Temperatura jest dosyć wysoka — na poziomie naszej bazy (4450 m) rzadko spadała poniżej zera stopni.

Rejon doliny Koa Rong jest pod względem alpinistycznym bardzo atrakcyjny, z uwagi na okalające ją dziewicze sześć- i pięcioletniczniki, których jest tu kilkanaście. Do Darchy, odległej od wylotu doliny o ok. 10 km (1 dzień transportu na mułach — wynajęcie 1 muła kosztuje 15 rupii) można w ciągu 1 dnia dojechać autobusem z Manali. Wejście w dolinę jest trudne i wymaga zaangażowania tragarzy (15 rupii — 1 dzień) w Darchy lub Yoche. A oto skrócone kalendarium naszej działalności:

27 czerwca wizyta w Instytucie Himalajskim, spotkanie z dyrektorem Harnam Singhem. Tego samego dnia rozmowa z sekretarzem Himalayan Club — Banonem.

Otoczenie górnego piętra doliny Koa Rong. Efektowne i trudne szczyty wznoszą się na wysokość 5800—6300 m — o ewentualnych wejściach na nie brak jakichkolwiek informacji.

Fot. Andrzej Zboński



30 czerwca z obozu niedaleko wsi Darcha M. Konecki i M. Gieraltowski wchodzą na bezimienny szczyt o wysokości 4289 m.

1 lipca P. Nowacki osiąga szczyt 4605 m. B. Lewandowska, A. Palczewski, A. Wachal i A. Zboiński powtarzają wejście na szczyt 4289 m.

3-4 lipca karawana w dolinę rzeki Milang i wejście w dolinę Koa Rong (obóz 3950 m). 6-9 lipca transport ładunków i organizowanie bazy.

10 lipca J. Andzelm z A. Palczewskim dochodzą do wysokości 5100 m; P. Nowacki i A. Zboiński próbują znaleźć drogę na dziewiczy szczyt 6158 m od strony lodospadu. Z powodu lawin seraków drogę oceniają jako zbyt niebezpieczną.

11 lipca cała ekipa zakłada obóz I (5250 m) na zboczu szczytu 5603 m, skąd 12 lipca P. Nowacki i A. Palczewski wspinają się granią, jednakże nawałnica z gradem i śniegiem zmusza ich do wycofania się do bazy.

13 lipca B. Lewandowska i A. Zboiński wchodzą na szczyt 4931 m.

16 lipca P. Nowacki z A. Palczewskim po 5-godzinnej wspinaczce osiągają granią dziewiczy szczyt 5603 m. Pokonują m. in. 7 pionowych apostołów skalnych — parę wyciągów z miejscami IV—V.

18 lipca J. Andzelm, M. Konecki, P. Nowacki, A. Palczewski i A. Zboiński powtarzają wejście na szczyt 4931 m, a następnie wspinają się granią w stronę dziewiczego szczytu ok. 5800 m. Trójka osiąga wysokość ok. 5600 m. Następnego dnia rozpoczyna się likwidacja bazy.

Koszt całej wyprawy wyniósł 20 000 zł na osobę, wliczając w to przydział 130 dolarów. Całość była finansowana ze środków własnych uczestników, a dotacje otrzymane od PTTK przeznaczyliśmy na zakup sprzętu alpinistycznego. Sukcesami wyprawy były wejścia na dziewicze szczyty 5603 m i 4931 m oraz trzy pierwsze polskie wejścia na szczyty w rejonie Darchy. Stanowią one istotny wkład w poznanie mało do tej pory wyeksplorowanych alpinistycznie rejonów Himalajów Zachodnich. Surowe piękno tych gór daje nam pewność, że nie byliśmy ostatnią polską wyprawą, która działała w tym rejonie.

Kangchendzönga Południowa zdobyta!

Wraz z rozpoczęciem się sezonu himalajskiego, światowe agencje prasowe zaczynają podawać informacje o działalności wypraw. Celuje w tej tematyce zwłaszcza Reuter — tego roku bywały dni, kiedy na moje redakcyjne biurko w PAP trafiało po kilka himalajskich depeesz tej agencji. W końcu kwietnia całą uwagę skupiła na sobie austriacka wyprawa na Mount Everest. Oto kilka fragmentów depeesz:

25 kwietnia (Reuter): Austriacka wyprawa zrezygnowała z poprowadzenia nowej drogi na Everest. Zamierza wejść drogą pierwszych zdobywców, lecz bez użycia tlenu. Reinhold Messner twierdzi, że jest pewien sukcesu.

28 kwietnia (Reuter): Huraganowy wiatr uniemożliwił zdobycie Everestu bez użycia tlenu. R. Messner, który wraz z 5 Szeperami dotarł na Przełęcz Południową i zamierzał samotnie wejść na wierzchołek zmuszony został do odwrotu.

3 maja (Reuter): Nie powiodła się kolejna próba wejścia na Everest bez tlenu. R. Messner i P. Habeler z powodu złych warunków atmosferycznych nie osiągnęli sukcesu.

3 maja (Reuter): Dwaj amerykańscy alpinści zginęli w lawinie, gdy wracali z wierzchołka Manasu (8156 m).

4 maja (AP): Polska wyprawa na szczyt Kangchendzönga założyła 27 kwietnia obóz III na wysokości 7200 m. Obóz II tej ekspedycji stanął 23 kwietnia na wysokości 6050 m.

5 maja (AFP): Trzej Austriacy — W. Nairz, H. Bergmann i R. Schauer zdobyli Mount Everest posługując się aparatami tlenowymi. Wejście od bazy wysuniętej zajęło im 60 godzin.

9 maja (AP): Dwaj Austriacy weszli 3 maja na Everest jako pierwsi ludzie bez użycia tlenu. Byli to Peter Habeler (lat 33) i Reinhold Messner (lat 35). Wyruszyli oni z Przełęczy Południowej o 6 rano i o 2 po południu byli tam już z powrotem.

11 maja (AFP): Wyprawa japońska weszła na główny szczyt Dhaulagiri (8167 m) w Himalajach. Drogę poprowadzono filarem ściany południowej, ciesząc się reputacją najbardziej niebezpiecznej. *Tęgoż dnia UPI:* Wyprawa austriacka przerwała szturmowanie Annapurny I (8091 m), ponieważ dwaj jej członkowie odnieśli ciężkie obrażenia w lawinie.

Podano też, że załamało się kilka innych wypraw, głównie z powodu warunków atmosferycznych, które w tym sezonie były w



Plan Messnera przewidywał atak niezbyt wyraźnym „filarem południowym” Everestu, mniej więcej w linii pokazanej na zdjęciu. Od zamiaru odstąpiono, nowy problem został jednak wytknięty. Po prawej Lhotse.

Fot. Wojciech Tędziagolski

zachodnim i środkowym Nepalu bardzo ciężkie. Silne opady śniegu powodowały lawiny, a pracę w górze utrudniały wichury. Zespół amerykański atakujący Manaslu stwierdził, że z 51 dni, jakie spędził w górach, tylko 18 nadawało się do prowadzenia działalności. Później pogoda poprawiła się:

2 czerwca (DPA): 7 uczestników międzynarodowej wyprawy, w tym 3 Szeperów, weszło w 3 zespołach na Makalu (8481 m). Jednym ze zdobywców jest Kurt Diemberger (lat 47), który przedtem wszedł już na 2 ośmiotysięczniki.

I wreszcie depeesz najważniejsze, najbardziej przez nas wyczekiwane:

23 maja (Reuter) i 7 czerwca (Reuter): Polscy alpinści zdobyli 2 wierzchołki trzeciego szczytu Ziemi, Kangchendzöngi. 19 maja Eugeniusz Chrobak (39) i Wojciech Wróś (37) weszli na dziewiczy wierzchołek południowy (8491 m), w 3 dni później Kazimierz W. Olech (49), Wojciech Brański (42) i Zygmunt Andrzej Heinrich (43) zdobyli wierzchołek środkowy (8478 m).

19 i 22 maja — zapamiętajmy te daty, jako dwa kolejne wielkie dni alpinizmu polskiego!

Andrzej Skłodowski

Baintha Brakk — poznanie i zdobycie

Baintha Brakk (Ogre, 7285 m) jest najwyższym wzniesieniem Panmah Mustagh w Karakorum. W 1892 r. jako pierwszy Europejczyk ujrzał go Martin Conway z lodowca Sim Gang. Szczyt ten wyglądał absolutnie niedostępnie i chyba z tego powodu Conway nadał mu nazwę „Ogre” (Ludożerca). W następnych latach działało tu kilka wypraw, które zbadały cały rejon, nie próbowały jednak atakować szczytu. Dopiero w 1974 r. Japończycy dotarli do wysokości 5600 m na południowo-zachodniej ścianie. Angielska wyprawa w rok później nie osiągnęła nawet podnóża szczytu. Rok 1976 przyniósł silną wyprawę japońską, która z lodowca Uzun Brakk weszła na zachodnią

Basza wierzchołkowa Ogre i końcowe partie wspinaczki. Linia ciągła nakreśliła drogę w górę, kropkowaną — zejście i serie zjazdów. Gruba strzałka pokazuje miejsce wypadku Scotta.

Fot. Doug Scott



przełęcz (6250 m), a następnie przeprowadziła 2 próby zdobycia wierzchołka. Długim lodowym trawersem osiągnięto wysokość 6500 m w pobliżu kulminacji południowego filara. Drugi atak zakończył się na wysokości 6600 m na grani zachodniej. Wyprawa ta rozwiązała problem dolnej części południowo-zachodniej ściany i rozpoznała 2 warianty przeprowadzenia ataku szczytowego. Wiadomo też już było, że pozostałe 900 m będzie wymagało skrajnie trudnej wspinaczki.

W 1977 r. na lodowcu Uzun Brakk założyła bazę silna wyprawa angielska. W jej skład wchodził: Mo Anthoine, Chris Bonington, Paul Braithwaite, Nick Estcourt, Clive Rowland i Doug Scott. Pierwszy atak przeprowadzono południowym filarem. Spadający kamień zranił Braithwaite'a, który musiał opuścić wyprawę. W tej sytuacji Anglicy skierowali się na drogę japońską i po zaporczeniu 750 m osiągnęli zachodnią przełęcz. Po założeniu obozu II (6300 m) Bonington i Estcourt powtórzyli trawers Japończyków, osiągając kulminację południowego filara, a po pokonaniu stromych pól lodowych — wchodząc na grani między wierzchołkami głównym i niewiele niższym południowo-zachodnim. Ponieważ czuli się zmęczeni, zdobyli tylko ów niższy wierzchołek (ok. 7200 m).

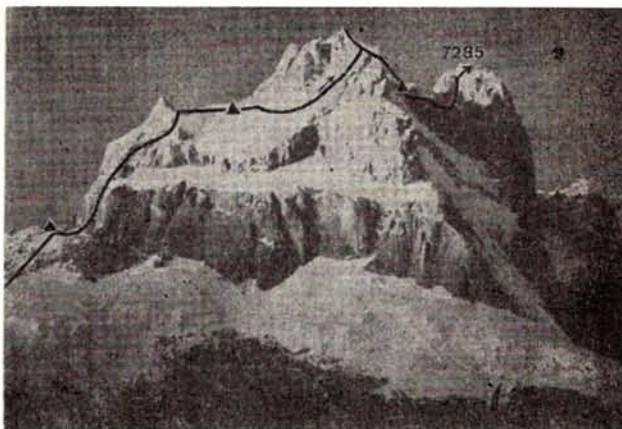
W tym czasie drugi zespół założył obóz III (6600 m) na zachodniej grani i zaporczył najtrudniejsze odcinki. Estcourt zszedł do bazy, a pozostali czterej przeprowadzili atak szczytowy zachodnią granią. Po przetranswersowaniu południowo-zachodniego wierzchołka osiągnęli oni przełęcz, gdzie zabiwakowali w jamie śnieżnej. 13 lipca Bonington i Scott po skrajnie trudnej wspinaczce osiągnęli o zmierzchu wierzchołek główny Baintha Brakk (7285 m, I wejście). Trzysta metrów niżej znajdowali się Anthoine i Rowland, którzy z uwagi na późną porę zrezygnowali z wejścia na szczyt i zawrócili do miejsca biwaku.

Zejście dwójki szczytowej odbywało się w silnym wietrze. Podczas jednego ze zjazdów odpadł Scott, doznając złamania obu nóg w kostkach. Mogli się poruszać tylko na czworakach, a droga zejściowa była trudna nawet dla człowieka w pełni sprawnego. Miał jednak świadomość tego, że dla niego zaczęła się walka o życie. Bonington wziął na siebie torowanie drogi — musiał wyrąbywać w lodzie stopnie, po których czołgał się Scott. Po ciężkim biwaku dotarli obaj do jamy biwakowej, gdzie czekali na nich Anthoine i Rowland, którym skończyła się już żywność. Na domiar z tego 15 lipca nastąpiło gwałtowne załamanie pogody, które zatrzymało ich na cały dzień. Dalsza

droga w dół miała przebieg dramatyczny. Bonington odpadł, łamiąc 2 żebra i kalecząc się w prawą rękę, natomiast Anthoine i Rowland nabawili się odmrożeń.

Całe zejście — licząc od wierzchołka — zajęło im 8 dni, w ciężkich warunkach atmosferycznych, 5 dni byli bez posiłku. Nadludzki wysiłkiem dotarli do bazy, gdzie jednak nie zastali Estcourta, który udał się do Askole po pomoc. Pospieszył za nim Anthoine, by przekazać wiadomość o szczęśliwym powrocie.

Była to jedna z najdramatyczniejszych wypraw w Karakorum. Wszyscy uczestnicy byli znakomitymi i bardzo doświadczonymi alpinistami i chyba tylko dzięki temu udało im się przetrwać 8-dniową odyseję. Przebieg tej wyprawy powinien dać wiele do myślenia zwolennikom miniekspedycji w góry najwyższe. Przygoda była szeroko relacjonowana przez całą prasę światową, a także polską, jej opis pióra samego Scotta zamieścił „Przekrój” z 23 kwietnia 1978 roku.



Blok szczytowy Baintha Brakk. Przy marszrutach zdobywców zaznaczono miejsca biwakowania (dwa górne biwaki w jamach śnieżnych).

Wg „La Montagne et Alpinisme”

Chris Bonington odpowiada na pytania Marka Brniaka



Chris Bonington w r. 1961 pod Elgerem
Fot. Czesław Momatiuk

1. Czy w twojej karierze górskiej istnieje jakiś moment, który zapamiętałeś w szczególny sposób?

Jest ich wiele ale najważniejsze było chyba moje pierwsze spotkanie z jedną z najwspanialszych naszych skałek, Clogwyn Du'r Arddu. Miałem wtedy szesnaście lat. Nie pamiętam aby kiedykolwiek później, w Alpach, czy Himalajach, towarzyszył mi większy niepokój i dreszcz emocji niż wtedy, kiedy się do niej zbliżaliśmy. Natomiast najbardziej dramatyczne chwile przeżyłem niewątpliwie w zeszłym roku podczas zejścia z Ogre ze złamanymi żebrami. Była to najpoważniejsza kontuzja, jaką odniosłem w ciągu 18 lat wspinania.

2. Czy mogłeś się wtedy spodziewać, że w bazie nikt nie będzie oczekiwał na wasz powrót?

Oczywiście, nie, ale pomyślił jak niezwykle trudną decyzję musieli podjąć znajdujący się na dole koledzy. Zresztą Nick Estcourt czekał na nas z sześcioma tragarzami niemal do ostatniej chwili. Opuścili oni bazę kilkanaście godzin przed naszym powrotem, z zamiarem zorganizowania akcji poszukiwawczej. Na miejscu czekał na nas ich list i trochę żywności.

3. Czy po lekcji wyniesionej z Ogre nie wydaje ci się, że twoja tegoroczna wyprawa na K2 może okazać się zbyt niebezpieczna?

Wręcz przeciwnie. Wiesz, tam będzie bardzo stromo, a więc bezpieczniej. Pomimo, że będzie nas tylko ośmiu, postaramy się założyć poręczówki na całej drodze. To na pewno znacznie pomniejszy ryzyko, ale jasne, że musimy dać z siebie absolutnie wszystko, aby pokonać zachodnią grzędę siłami tak małego zespołu i bez pomocy tragarzy wysokościowych.

4. Wspomniałeś kiedyś, że zaatakujecie K2 „drogą polską”. Zdaje się, że miała miejsce w Anglii jakaś kampania wymierzona przeciwko temu zamiarowi?

Nic o tym nie wiem. Faktycznie, początkowo mieliśmy taki plan ale po dłuższych dyskusjach zdecydowaliśmy się na zachodnią grzędę, która poprzez większe trudności techniczne i fakt, że jest całkowicie dziewicza, wydaje się nam celem bardziej ambitnym.

5. Jesteś nie tylko kierownikiem wypraw ale bierzesz w nich czynny udział. Nie zawsze jednak znajdujesz się w ataku szczytowym. W jakim stopniu dyktowane jest to twoimi założeniami taktycznymi?

Nie wszedłem na szczyt podczas trzech dużych ekspedycji, które zorganizowałem i prowadziłem. Mam tu na myśli południową ścianę Annapurny i południowo-zachodnią Everestu. Wychodzę z założenia, że w przypadku dużych wypraw, w których cały szturm powinien prowadzić niewielki zespół wysmiętych wspinaczy, wspieranych przez resztę uczestników, kierownik musi przede wszystkim skoncentrować się na dowodzeniu wyprawą. Nie widzę jednak żadnego powodu, aby w przypadku mniejszych wypraw miał on się powstrzymać od wzięcia udziału w ataku szczytowym. W przeciągu paru ostatnich lat sam stanąłem na Brammah Peak, Changabangu, no i Ogre.

6. Czy bardziej pasjonuje cię wspinaczka jako taka, czy organizowanie wypraw?

Dla mnie obie te rzeczy stanowią integralną całość. Procesy psychiczne i emocjonalne towarzyszące wspinaczce dają mi wiele zadowolenia, ale jednocześnie bardzo mnie ciekawi złożoność planowania i przygotowań do zatakowania jakiegoś skomplikowanego problemu. Mam wielką satysfakcję, jeśli obrana taktyka sprawdza się w rzeczywistości.

7. Co myślisz o wspinaczce samotnej?

Wydaje mi się, że jest najwyższym stopniem wtajemniczenia. Bierzemy wtedy w ręce nasze życie i niemal wszystko zależy wyłącznie od nas samych. Osobiście nie czuję się na siłach podejmować takie ryzyko. Zawsze wolałem miłe poczucie bezpieczeństwa, jakie daje partnerstwo i właściwe użycie liny.

8. Przejście której z dróg w Himalajach i Karakorum uważasz za najlepsze osiągnięcie sportowe?

Trudno jest dokonywać takich porównań. Szeroko reklamowany atak Messnera i Habenera na Gasherbrum I był niewątpliwie nowatorski, ale raczej prosty technicznie. O wiele poważniejszy problem pokonali Joe Tasker i Peter Boardman na zachodnim filarze Changabangu, którzy w dodatku drogę swoją poprowadzili chyba w lepszym stylu.

9. Na pewnym etapie przygotowań do twojej drugiej wyprawy na Everest uciekałeś się do pomocy komputera. Jak wygląda to w praktyce?

Dysponowałem programem umożliwiającym mi szybkie i łatwe otrzymanie odpowiedzi na rozmaite pytania natury taktycznej, na które mogliśmy natknąć się na miejscu. Było to coś na kształt „wspinaczkowej gry planszowej”. Kiedy jednak znaleźliśmy się w górach, okazało się to wielką pomocą, ponieważ czułem się na siłach rozwiązać każdy problem. Zre-

szta przebieg wyprawy niewiele różnił się od planu, jaki opracowałem przed wyjazdem w opraciu o te kalkulacje.

10. Daje się współcześnie zauważyć tendencję do osiągnięcia celu za każdą cenę. Spotkałem się z opinią jednego z kierowników wypraw, że przy atakowaniu problemów klasy światowej wartość sukcesu jest tak wielka, iż usprawiedliwia ona nawet wypadki śmiertelne, mogące się zdarzyć podczas takich ekspedycji. Co o tym sądzisz?

Mogę mówić tylko za siebie i trochę za moich przyjaciół. Wyruszając na jakąkolwiek wyprawę chcemy oczywiście odnieść zwycięstwo — inaczej nie miałyby to sensu. Podczas wspinaczki bierzemy na siebie pewne wkalculowane w nią ryzyko. Gdybym czuł, że sytuacja staje się zbyt niebezpieczna, nie wahałbym się zawrócić. Tak było np. w 1972 roku na ścianie Everestu. Uważam, że wspinaczka powinna przede wszystkim rodzić radość i sprawiać przyjemność. Niestety, wiąże się ona nieuchronnie z dość dużym ryzykiem i jeśli ktoś ma ochotę się w to bawić, musi je świadomie zaakceptować.

11. Które z przejsć, w jakich brałeś udział, uważasz za swoje największe osiągnięcie?

Centralny filar Freney jest chyba najtrudniejszą drogą, jaką zrobiłem w Alpach. Przejście jej sprawiło mi wielką satysfakcję. Oczywiście Jan Długosz był członkiem naszego zespołu. Z ostatniego okresu najbardziej cenię sobie południową ścianę Annapurny, która naonczas była największą ze zdobytych ścian na świecie. Był to krok w nieznanne, który stał się przełomem w rozwoju himalaizmu. Źródłem dodatkowej satysfakcji jest fakt, że była to pierwsza wyprawa, którą kierowałem.

12. Wracając do filara Freney chciałbym cię zapytać, co było powodem, dla którego zaprosiliście Długosza do udziału w ataku? O ile wiem, nie otrzymał on tam większego pola do popisu.

Kiedy wreszcie w Grindelwaldzie zdecydowaliśmy się zmienić plany, zrezygnować z Eigeru i spróbować szczęścia na Freney, Długosz wyraził chęć przyłączenia się do nas. Zaprosiliśmy go z przyjemnością. W Chamonix przypadkowo dołączył do nas Ian Clough. Tak się jakoś złożyło, że Don Whillans i ja prowadziliśmy całą drogę. Wspinaliśmy się zresztą znacznie szybciej niż Jan i Ian.

13. Co sądzisz o zdobyczach polskiego alpinizmu?

Macie niewątpliwie wielkie osiągnięcia, szczególnie w Alpach i Hindukuszu, oraz spore w Himalajach. Jak wiesz, miałem okazję wspinać się z Polakami, co nauczyło mnie dużego szacunku dla waszych umiejętności. Prawdę mówiąc zastanawiałem się w jaki sposób dochodzicie do takich osiągnięć. Koniecznie muszę któregoś dnia odwiedzić Tatry

14. Jak oceniasz polskie zimowe wejście na Noszak oraz wyprawę na Lhotse?

W obu przypadkach chodzi chyba o ważny etap rozwoju alpinizmu. Postęp, jaka by nie była jego forma, zapisuje się na trwałe w ewolucji każdej dziedziny działalności ludzkiej, nawet jeśli w konkretnym momencie wydawały się zamierzeniem zbyt śmiałym, przedwczesnym czy też niemożliwym do zrealizowania. Nie mogę jednak wypowiedzieć, żeby zimowa eksploracja Himalajów pociągała mnie w szczególności. Wydaje mi się, że istniejące w nich letnie problemy są wystar-

czająco wielkie, trudne i atrakcyjne, przynajmniej dla mnie.

15. Spływ pontonami przez katarakty Nilu uważasz za najmniebezpieczniejszą przygodę w swoim życiu. Jakie masz plany na przyszłość i czy związane są one wyłącznie z górami?

Tak, na razie myślę wyłącznie o górach. Mam nadzieję, że będę odwiedzał Himalaje przynajmniej raz w roku przez najbliższe, no powiedzmy dziesięć lat. Jestem zdecydowanie zainteresowany organizowaniem małych, bardzo silnych wypraw.

KRZYSZTOF LANG

Świat szklanych gór

W czasie paromiesięcznego prywatnego pobytu w Szwecji udało mi się nawiązać kontakt z członkami tamtejszego klubu wysokogórskiego w Sztokholmie. Wspólne weekendy w skałkach, których nie brak na przedmieściach tego miasta, zacieśniły naszą znajomość i zaplanowaliśmy zimowy wypad do Norwegii, do doliny Hemsedal, gdzie wspinaczki odbywają się na zamarzniętych wodospadach. Moja wiedza o górach Norwegii sprowadzała się do doliny Romsdal i związanych z nią sukcesów polskich alpinistów, z tym większym więc zaciekawieniem oczekiwałem wyjazdu.

Na podróż wynajęliśmy mikrobus i w końcu stycznia 1978 r. po 15 godzinach jazdy w 8 osób znaleźliśmy się w wiosce o podobnej jak dolina nazwie: Hemsedal. Leży ona około 250 km na północny zachód od Oslo i znana jest głównie z licznych tras narciarskich. Po przybyciu wynajęliśmy dwa domki campingowe i skontaktowaliśmy się z głównym znawcą i eksploratorem wspinaczkowym tej okolicy, Tomaszem Carlströmem. Zaprosił nas on na wieczór, żeby opowiedzieć o rejonie i pokazać zdjęcia ze wspinaczki na wodospadach. To, co ujrzałem, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Zobaczyłem zupełnie mi nie znany świat szklanych gór, jakieś gigantyczne, kilkudziesięcio- a nawet kilkusetmetrowe sopłe lodowe, skrzące się w słońcu zielono-niebieską barwą, przedziwne formacje nie do pomyślenia w skale, monstrualne grzyby lodowe ponawieszane jeden nad drugim, lodowe filary i kolumny, a w tym wszystkim tkwiące gdzieś na przekór prawom ciężania i wszelkiej logice drobne ludzkie postacie.

Z sensu wyszliśmy nieco wystraszeni ale, nie da się ukryć, zafascynowani. Na początek postanowiliśmy wybrać spośród kilkudziesięciu znajdujących się w okolicy lodospadów takie, które nadawałyby się na wypróbowanie nie znanej nam bliżej techniki wspinania w

pionowym, kruchym lodzie. Z Kennethem, moim szwedzkim partnerem, zaatakowaliśmy niezbyt stromy lodospad z odcinkami pionowego lodu. Jednak z powodu bezustannych lawin pyłowych zmuszeni byliśmy zrezygnować po jednym wyciągu. Następnego dnia Haakon Gammelsater, młody partner Tomasa Carlströma, zaproponował wspinaczkę w dwóch zespołach na prawie pionowy tym razem lodospad o oryginalnej nazwie „Ścianka Gimnastyczna dla Gospodyń”.

Miejsce to znajdowało się o pół godziny drogi od wioski Hemsedal. Kiedy dotarliśmy do celu okazało się, że jest to mała, urokliwa kotlinka, do której wlewają się z wysokości około 60 m dwa lodospady. Naszym celem był lewy, w którym dało się wyróżnić wyraźnie dwie formacje — wspaniałą lodową filar oraz rodzaj „schodowatej ściany”. Wraz z innym kolegą szwedzkim, Paer-Olofem, wybraliśmy filar, Haakon zaś postanowił wspiąć się ze swoim partnerem ścianą. W czasie przygotowań pilnie przyglądałem się sprzętowi Norwega. Miał dwa około półmistrzowskiej długości czekanomotki, z zawieszonymi pośrodku styliska pętlami i zwisającymi na końcach małymi pętelkami. Poza tym posiadał motek lodowy, raki do dość długimi atakującymi zębami, rodzaj „fifi” przytroczony do uprzęży na krótkiej pętelce oraz komplet śrub — każda w kształcie bardzo cienkościennej rury, zakończonej czterema ostrzami, co powoduje, że w najtwardszy lód można je wkrecać ręką.

Za chwilę zobaczyłem, jak to wszystko ze sobą współgra. Haakon podszedł pod pierwszy dziesięciometrowy uskok i najpierw umieścił na wysokości wyciągniętych ramion dwa czekanomotki a następnie, zawisając na nich, kolejno wybił kopnięciami rakiem stopnie. Uderzenia czekanami były bardzo precyzyjne i przypominały rzucanie spinningiem. Sposób, w jaki się poruszał wydał mi się podobny do tego, jakim poruszają się drewniane paja-



Wspinaczka na pionowym lodospadzie w dolinie Hemsedal — w akcji Haakon Gammelsater.

Fot. Petter Berndtson

cyki zawieszane na sznurku*. Czasami dopiero za trzecim lub czwartym razem udawało mu się osadzić czekan dostatecznie pewnie. Lód był niezwykle kruchy i niejednokrotnie dopiero kolejna jego warstwa wytrzymała i tak nienajsilniejsze uderzenie. Śrubę asekuuracyjną wkręcił, wieszając się za pomocą „fifi” na jednym z czekanomłotków, co pozwoliło mu uwolnić obydwie ręce. Przejście jednego wyciągu prawie w pionie i założenie stanowiska zajęło Haakonowi około 15 minut.

W czasie naszej wspinaczki filarem usiłowałem naśladować ruchy Norwega ale, przyznaję, przychodziło mi to z dużym trudem, ponieważ na początku nie mogłem przekonać się do bezustannego wieszania się na przemian to na młotku, to na czekanie, tkwiących

* W czasie wspinaczki Haakon starał się maksymalnie prostować wszystkie stawy, co powodowało, że obciążony był głównie układ kostno-szkieletowy, który męczy się dużo wolniej, niż układ mięśniowy.

czasem zaledwie centymetr w kruchym lodzie. Jednak z kroku na krok czułem się pewniej i w pewnym momencie chyba za pewnie, bo obciążylem czekan tkwiący w odpekniętej tafli lodu i po chwili znalazłem się parę metrów niżej. „Błąd we wspinaczce lodowej jest nie do naprawienia — wyjaśnił mi potem sympatyczny Norweg — i dlatego nie należy się zbyt spieszyc.”

W dalsze arkana swej wyrafinowanej sztuki lodowej wprowadzali nas nasi norwescy przyjaciele już przy wspólnej kolacji. Zapytałem, dlaczego używają czekanów na drewnianych styliskach, skoro mają dostęp do lekkich metalowych. Okazało się, że nie jest to przypadkowe, a to, co ja wziąłem za drewno, jest specjalnym rodzajem bambusa, który tłumia drgania i nie powoduje nadmiernego pęknięcia lodu, jak to ma miejsce w przypadku czekanów metalowych.

Całą tę wymyślną technikę przywieźli do Hemsedal trzy lata temu Amerykanie Henry Barber i Rob Taylor. Sprzęt, który posiadali, opracowany został przez Yvona Chouinarda — najlepszego chyba, obok Szkota Hammisha McInnesa, znawcy w tej dziedzinie. Amerykanie odwiedzili już dwukrotnie tę dolinę, dokonując wspólnie z Tomaszem Carlströmem i Hakonem Gammelsaterem wielu pierwszych przejść, z których najwybitniejszym chyba było przejście prawie trzystumetrowego wodospadu Vettisfossen.

W zasadzie technika wspinania w pionowym lodzie bez użycia ławek została opracowana już wcześniej przez wspomnianego McInnesa, jednak szkodliwe terrordaktyle okazały się za mało subtelne na kruche norweskie lodospady. Amerykanie podeszli do wspinaczki lodowej w sposób niemal naukowy, badając szereg czynników fizykochemicznych, mających wpływ na wytrzymałość lodu, takich jak temperatura, struktura krystaliczna, zasolenie itp., co pozwoliło na optymalizację w doborze sprzętu oraz sposobu i warunków wspinania się.

Na koniec zapytałem Haakona, skąd poszła tak osobliwa nazwa wodospadu, na który wspinaliśmy się razem. Na to on uśmiechnął się i odpowiedział, że jest jej autorem, a historia nazwy datuje się sprzed czasu, kiedy do Hemsedal przywędrowała amerykańska technika. Tutejsi alpinści już wcześniej próbowali wspinaczek na lodospadach, jednak najdłuższe odcinki, jakie byli w stanie pokonać operując tradycyjnym czekanem i młotkiem lodowym, wynosiły nie więcej niż 10 metrów. Któregoś zimowego dnia Haakon pokusił się o przejście może 15 metrów i kiedy osłabł, tuż przed opadnięciem zaklął, że to nie gimnastyka dla gospodyń. I tak zostało. Zgodziłem się z tą opinią, dotykając swego odrapanego w czasie upadku nosa, starając się jednocześnie odgrzebać w pamięci zielono-niebieskie sople wiszące gdzieś w Tatrach, które podczas zimowych wspinaczek na ogół skrętnie omijałem, a które teraz nabrały dla mnie innej zgoła wartości.

Zimowy obóz pod Eigerem

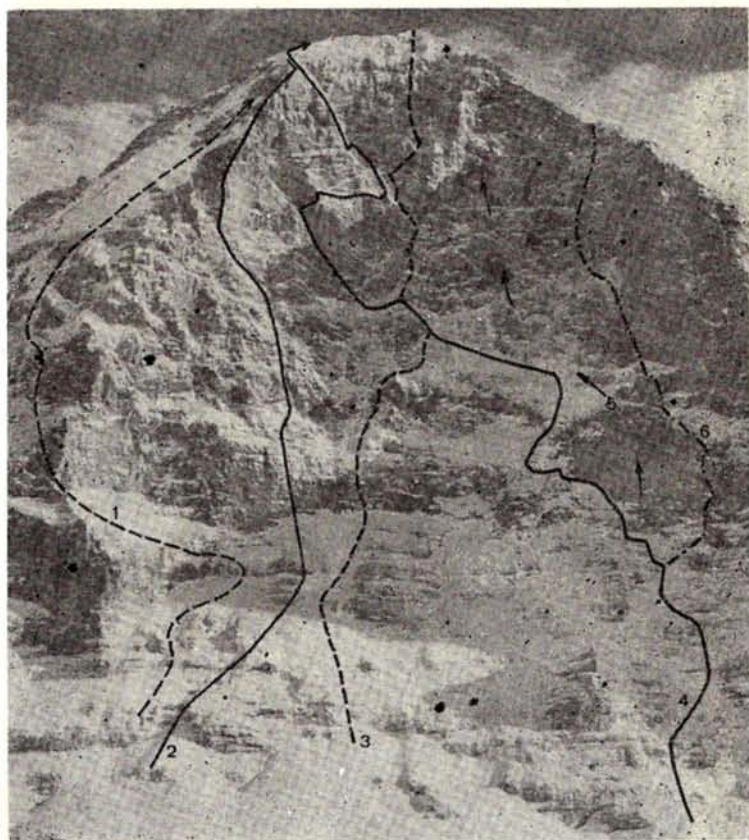
W połowie lutego 1978 r. wyjechał do Szwajcarii zespół PZA w składzie: Andrzej Czok, Walenty Fiut, Janusz Skorek (kierownik) i Jan Wolf. Naszym zamierzeniem było zimowe przejście północnej ściany Eigeru, przy czym jako cel pierwszoplanowy obraliśmy direttissimę anglo-niemiecką, zwaną również drogą Harlina.

W dniu 21 lutego wyruszyliśmy z Grindelwaldu (930 m) z zamiarem wejścia na Eiger (3970 m) zachodnią flanką. Chodziło nam o poprawę kondycji, a głównie o poznanie drogi zejściowej z wierzchołka. Noc spędziliśmy w namiotach obok stacji Eigergletscher (2370 m) a następnego dnia rano wyszliśmy w kierunku szczytu. Z uwagi na zbyt późny wymarsz, do wierzchołka nie dotarliśmy, osiągając wysokość ok. 3700 m. Rekonesans spełnił jednak swoje zadanie, gdyż poznaliśmy najtrudniejsze orientacyjnie partie drogi zejściowej.

Kolejną noc spędziliśmy znowu w namiotach i 23 lutego zeszliśmy do Grindelwaldu, trawersując tuż pod ścianą Eigeru. Tam też spotkaliśmy grupę alpinistów francuskich, pod wodzą C. Marmiera, od którego dowiedzieliśmy się, że już od kilku dni atakują oni 8-osobowym zespołem drogę Harlina, stosując metodę poręczowania. W ten sposób nasz zamiar przejścia tej drogi upadł, gdyż nonsensem byłoby wspinanie się obok zawieszonych poręczówek. Po naradzie postanowiliśmy przejść drogę „klasyczną” na północnej ścianie Eigeru.

Droga „klasyczna” miała wtedy (na ile udało się ustalić) 6 przejść zimowych, z których najkrótsze trwało 5 dni. Zimą trudności ma niejako znacznie większe niż latem, nie bez znaczenia jest też długość drogi, wynosząca 2500 m. Po przeczekaniu w Grindelwaldzie kilku dni niezbyt dobrej pogody, 28 lutego

Fot: Jan Wolf



Północna ściana Eigeru w dniach polskiego zimowego przejścia:

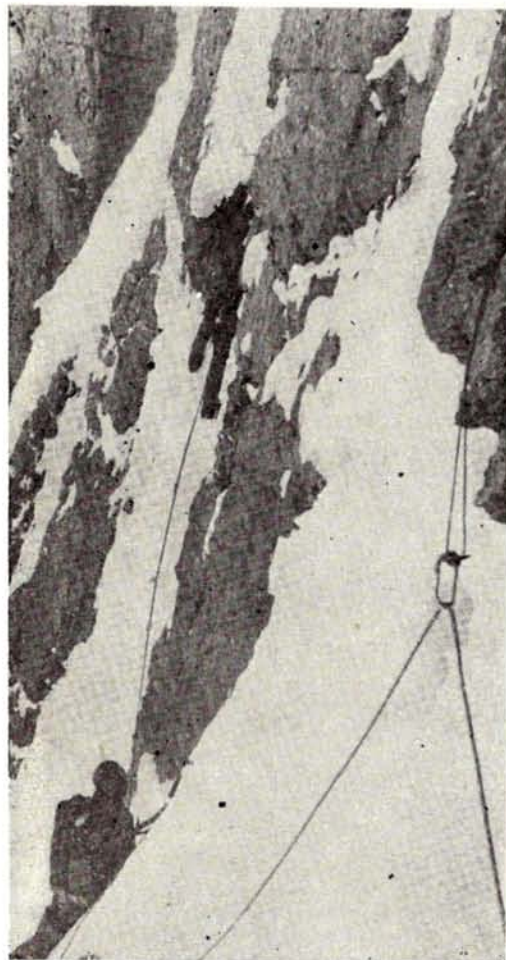
1. Polska droga północnym filarem (1968, T. 4/68);
2. nowa droga czeskosłowacka (1978, zob. s. 63);
3. direttissima anglo-niemiecka (1966, T. 3—4/66);
4. droga klasyczna z r. 1938, ostatniej zimy przebyta przez zespół polski;
5. droga japońska z r. 1969 (przebieg przybliżony),
6. „Filar” czeskosłowacki z r. 1976.

wieczorem podeszliśmy do stóp ściany, gdzie zabiwakowaliśmy 100 m poniżej wejścia w drogę. Zauważyliśmy wówczas, że na drodze „klasycznej” znajduje się zespół, jak się potem okazało, trzech Japończyków. Biwakowali oni właśnie u stóp Rote Fluh.

1 marca wyruszyliśmy o godz 4 i przy świetle latarek czołowych doszliśmy do miejsca położonego 100 m poniżej podstawy Trudnej Rysy. Od tego momentu rozpoczęliśmy sztywną asekurację. Trudna Rysa i zacięcie ponad nią (V) były zupełnie zalane lodem. O godzinie 14 doszliśmy do początku Trawersu Hinterstoissera, gdzie ugotowaliśmy mały posiłek. Przejście trawersu było ryzykowne, gdyż ścianę pokrywała warstwa niemal pionowego zbitego firnu i słabego lodu. Przykryte śniegiem były też stare poręczówki, które w warunkach letnich ułatwiają przejście tego odcinka. Biwak założyliśmy na Pierwszym Polu Lodowym.

W północnej ścianie Eigeru — dojście do trawersu Hinterstoissera.

Fot. Jan Wolf



2 marca rano szybko przeszliśmy Pierwsze Pole Lodowe, natomiast duże trudności wystąpiły przy przejściu z Pierwszego Pola na Drugie. Odcinek ten przebyliśmy lodowym kuluarem o nachyleniu dochodzącym do 80 stopni. Następnie 15 wyciągami pokonaliśmy Drugie Pole Lodowe (prawie 400 m trawersem w lewo), by osiągnąć podstawę Żelazka. Dojście do Biwaku Śmierci na wierzchołku Żelazka (100 m V) było zupełnie wylane szklistym lodem. Na Biwaku Śmierci zastaliśmy szykujących się do noclegu wspomnianych trzech Japończyków oraz 2 Francuzów z zespołu „pracującego” na drodze Harlina.

Trzeci dzień wspinaczki rozpoczęliśmy dwuwyciągowym trawersem Trzeciego Pola Lodowego (twardy wodny lód o nachyleniu do 60 stopni), doprowadzającym do wylotu Rampy. Po przejściu siedmiu wyciągów w Rampie (V, lód i śnieg) i krótkiego pola śnieżnego rozpoczęliśmy trawers w prawo po pokrytej lodem półce, następnie zaś pionową kruchą rysą dotarliśmy od początku Trawersu Bogów. Na maleńkich wyrąbanych w lodzie platformkach założyliśmy tu niewygodny biwak — Japończycy biwakowali 50 m dalej w jeszcze gorszych warunkach.

4 marca pokonaliśmy najpierw Trawers Bogów (4 wyciągi w stromym i twardym lodzie, przykrywającym kruche skałki) a następnie tzw. Pająka — dość łatwe pole lodowe o nachyleniu 45°. W południe rozpoczęliśmy forsowanie Rys Wyjściowych (9 wyciągów V). Skałę cały czas przykrywała warstwa naciekowego lodu. W czasie gdy pokonywaliśmy ostatni komin, nastąpiło załamanie pogody połączone z opadem śniegu. Momentalnie całą ścianą zaczęły schodzić lawiny pyłowe. O godz. 18 doszliśmy do podszczytowych pól lodowych, które przeszliśmy już w świetle latarek czołowych. Z uwagi na zmęczenie i chwilową poprawę pogody założyliśmy ostatni biwak na wygodnej platformie śnieżnej tuż pod grania Mittellegi.

Następnego dnia od rana znowu zaczął padać gęsty śnieg. Po przejściu 200 m łatwej grani weszliśmy na szczyt Eigeru i rozpoczęliśmy zejście. Z powodu ogromnego niebezpieczeństwa lawin, jedynym rozsądnym wyjściem były zjazdy na linach. W sumie wykonaliśmy 16 zjazdów, osiągając w końcu łatwiejsze partie drogi zejściowej. Wczesnym wieczorem byliśmy już w Grindelwaldzie.

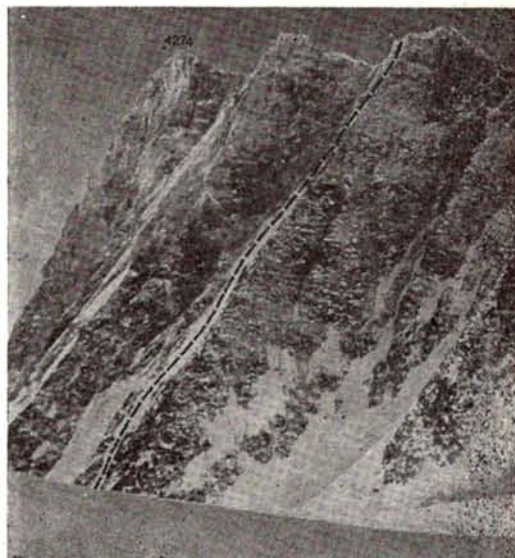
Dokonane przez nas czterodniowe przejście drogi „klasycznej” było jej najszybszym, jak do tej pory, przejściem zimowym. Trudności drogi w zimie mają zupełnie odmienny charakter aniżeli latem. Cała ściana jest pokryta twardym naciekowym lodem, wypolerowanym przez spadające lawiny pyłowe. Na całej drodze znaleźliśmy tylko 30 m skały wolnej od lodu czy śniegu. W czasie przejścia ani na moment nie można było sobie pozwolić na zdjęcie raków. Bardzo niewygodne są też stanowi-

ska asekuracyjne, a znalezienie wygodnego miejsca na biwak wcale nie jest takie proste. Wspinaliśmy się wszyscy z plecakami na plecach, przez pierwsze trzy dni przeciągając mały worek z żywnością.

Ponieważ czasu pozostało nam sporo, postanowiliśmy dokonać jeszcze jednego przejścia. Za cel obraliśmy północno-wschodnią ścianę Finsteraarhornu (4274 m), której przejścia zimowe — z uwagi na bardzo długie i skomplikowane podejście — są niezwykle rzadkie.

9 marca wyruszyliśmy z Grindelwaldu i po 12 godzinach marszu doszliśmy do schroniska Strahleggghütte (2688 m). Po dniu odpoczynku, dotarliśmy pod ścianę po 4 godzinach podejścia. Niestety zaczęła się psuć pogoda i dlatego zdecydowaliśmy się (po ożywionej zresztą dyskusji) na zrobienie nowej drogi (na ile udało się ustalić), wiodącej wybitną deską lodową, przecinającą prawą część ściany, która ma w tym miejscu około 800 m wysokości i nachylenie 55°. Doskonałe warunki lodowe (lód przykryty cienką warstwą firnu) pozwoliły nam rozwinąć tempo tak, że grań osiągnęliśmy po czterech godzinach wspinaczki. Na grani przywitało nas prawdziwe śnieżne piekło. Schodziliśmy błędząc w szalejącej śnieżycy i mgłę, by tego samego dnia wieczorem wrócić do Strahleggghütte. 13 marca zesliśmy do Grindelwaldu, skąd następnego dnia wyruszyliśmy w drogę powrotną do kraju.

Wyniki obozu można uznać za dobre. Wysoko należy ocenić rekordowe pod względem szybkości przejście ściany Eigeru, przy czym dodać trzeba, że idąca przed nami trójka japońska wspinaczki nam nie ułatwiała, poruszała się bowiem nowoczesną techniką, nie rąbiąc na polach lodowych stopni i niemal nie zostawiając śladów. Nowa droga poprowadzona przez nas na północno-wschodniej ścianie



Droga polskiego zespołu na północno-wschodniej ścianie Finsteraarhornu. Kotą oznaczono wierzchołek główny, którego widoczny na tle nieba filar przeszedł w r. 1967 Kazimierz Głazek i Krzysztof Zdzitowiecki (T. 4/67 s. 165).

Fot. Janusz Skorek

Finsteraarhornu nie przedstawia zbyt wysokich trudności, ale jest na pewno ładna i logiczna.

Ze względu na spóźniony wyjazd nie udało nam się wyprzedzić Francuzów i zaatakować drogi Harlina na Eigerze. Naszym zdaniem problem zimowego przejścia tej pięknej dirt-tissimy stylem alpejskim jest nadal otwarty i powinien stać się celem następnego polskiego wyjazdu.

MIROSLAV ŠMÍD

32 dni w ścianie Eigeru

W okresie od 15 stycznia do 27 lutego 1978 r. kadrowy zespół alpinistów czechosłowackich w składzie: Jiří Šmíd, Josef Rybička, Jaroslav Flejberk i Miroslav Šmíd poprowadził nową drogę lewą częścią północnej ściany Eigeru, spędzając w niej łącznie 32 doby.

Po 12-dniowej wspinaczce dolną częścią ściany, zespół dotarł pod „okna” stacji „Eiger-nordwand” znanej kolejki górskiej. Załamanie się pogody zmusiło tu alpinistów do wycofania się zjazdami przez całą 500-metrową partię pokonanych urwisk i przerwania wejścia na 10 dni. Gdy warunki uległy poprawie, wrócili do poprzednio osiągniętego punktu, by przez następnych 20 dni kontynuować wspinaczkę — metodą poręczowania odcinków i stopnio-

wego przesuwania w górę obozu. W ostatnim tygodniu pogoda była bardzo zmienna: dni słoneczne przeplatały się z dniami opadów i lawin, budząc na przemian zwątpienie i nadzieję. Drogi w dół już wówczas nie było...

Lewa, dotąd całkowicie dziewicza połącz ściany umożliwiała wytyczenie drogi w dość prostej linii, wiodącej w stromym łodzie i silnie przewieszzonej skale (zob. s. 63). Zespół zużył 60 kg żywności, a wyposażony był m.in. w 450 m lin, 100 haków skalnych i lodowych oraz 80 karabinków. Łączna waga sprzętu i ekwipunku wynosiła 300 kg.

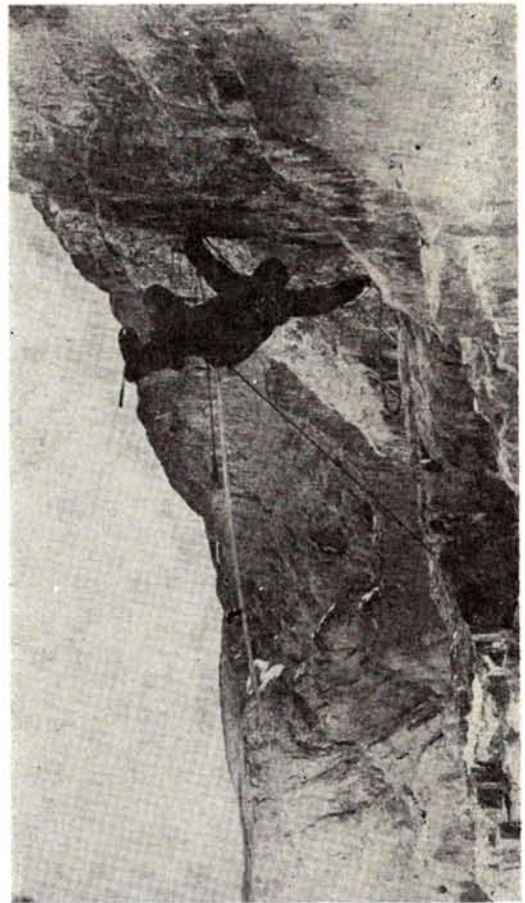
Z powodu niepogody i konieczności przyspieszenia wspinaczki w końcowej fazie operacji, alpinści odciążyli się zrzucając namiot

i redukując zapas żywności. Biwakowali od-tąd pod gołym niebem, nie dojadając. Na do-miar złego spadający kamień zranił jednego z członków zespołu i spowodował u niego wstrząs mózgu. Uzgodniono więc przez ra-diotelefon ze służbą ratowniczą, że z grani zdejmie całą czwórkę helikopter. Niestety pogoda była fatalna i o przeprowadzeniu akcji nie można było nawet myśleć. A więc kolejny ciężki biwak, tym razem już w śnieżnej pie-czarze w pobliżu wierzchołka. Ale rano przy-niósł nową nadzieję: wiatr się uciszył, chmu-ry rozsunęły, a około południa pojawił się śmigłowiec, który dwoma krótkimi lotami w 20 minut przerzucił całą czwórkę na Kleine Scheidegg. Wykorzystanie przejaśnienia było precyzyjne, gdyż niebawem niebo znów się zaciągnęło, a nad Eigerem na parę dni rozpę-tało się nowe śnieżne piekło.

Taki finał miała, w końcówce nieco drama-tyczna nasza wyprawa, która stanowić będzie kolejny rozdział historii zdobywania słynnej alpejskiej ściany.



Inny zespół czechosłowacki dokończył w kwietniu zaczęta w marcu 1977 r. direttissi-mę ściany, biegnącą w dół na lewo od drogi klasycznej w górze zaś na lewo od drogi japońskiej. Niestety w pobliżu szczytu od-padła dwójka wspinaczy, ponosząc śmierć na miejscu. Jednym z zabitych jest Jiří Pe-chouš, współpracownik „Taternika”, autor artykułu na s. 74. (Red.)



WANDA RUTKIEWICZ

Północna ściana Matterhornu zimą

PODZIĘKOWANIE

Wdzięczne za życzliwość, spontaniczną po-moc i udział w rozwiązywaniu naszych kłó-potów, pragniemy, aby nasze gorące podzię-kowania również i tą drogą otrzymali: René Arnold, Paula Biner, Constant Cachin, H. Hoffstetter, Carlo Gobba, Toni Loetscher, Karl Kathriner, Alfons Lerjen, Maria Lhot-ta, Lia v. Herman, lekarze klinik w Visp i Innsbrucku, Hans-F. Leupold, Helga i Axel Schmitt, Dorota Nocera-Przybecka, Cosimo Nocera, Felicitas v. Reznicek, Krystyna Schuchter i Sophie de Serdakowska-Cosey.

Anna Czerwińska, Irena Kęsa,
Krystyna Palmowska i Wanda
Rutkiewicz.

18 lutego 1978 r. czwórka w składzie Anna Czerwińska, Irena Kęsa, Krystyna Palmowska i Wanda Rutkiewicz (kierownik) przybyła do Zermatt z zamiarem przejścia północnej ścia-ny Matterhornu (4478 m) po raz pierwszy

w zimie w zespole kobiecym. Założenia tak-tyczne przewidywały urządzenie bazy wypadowej w niezagospodarowanym zimą schronisku „Hörnli” (3260 m) i wypad akli-matyzacyjno-transportowy do schronu „Sol-vay” (4003 m) na grani Hörnli, którą wiedzie droga zejściowa ze szczytu. W dniach od 21 do 27 lutego zadanie to zostało wykonane, mimo iż po długotrwałych opadach śniegu warunki w górach były trudne i stwarzały za-grożenie lawinowe. Obszar Alp Walijskich znajdował się pod wpływem niskiego ciśnie-nia i zachodnich wiatrów. Prognoza pogody zapowiadała dalsze opady, więc przeczekały-smy kilka dni w Zermatt. Dla zabezpieczenia łączności ze schroniska „Hörnli” i podczas wspinaczki wypożyczyliśmy radiotelefon. Us-talone zostały godziny kontaktów celem otrzymania bieżących prognoz pogody z lot-niska helikopterowego w Zermatt. W dniu 3 marca udało się powtórnie do schroni-

ska z zamiarem oczekiwania (tam już nie na dobre warunki, ale tylko na stabilniejszą pogodę.

RAZEM Z JAPONCZYKAMI

7 marca o trzeciej nad ranem opuściliśmy schronisko, by o świcie rozpocząć wspinaczkę na polach lodowych północnej ściany Matterhornu. W połowie pół doszedł do nas idący po naszych śladach zespół japoński z udziałem kobiety. Od tego momentu obie grupy wspinały się równolegle, co zwiększyło znacznie niebezpieczeństwo wspinaczki. Japończycy, mimo że w dwójkowym zespole winni być szybsi od nas, nie mogli wyprzedzić naszego zespołu. Dopiero drugiego dnia wspinaczki pod wieczór odbili od nas, skorzystawszy z pomocy rewelacyjnie szybkiej trójki swoich rodaków, którzy przegonili obie wspinające się dotychczas grupy i pociągnęli za sobą japońską.

Po pokonaniu dolnej części ściany — stromych pół śnieżnych i lodowych — weszliśmy w trudny środkowy odcinek ściany — wielki kuluar skalny z partiami lodowymi i śnieżnymi. Śniegu, wbrew oczekiwaniom, było w ścianie mniej niż latem, a lód ze względu na minusowe temperatury był bardzo twardy. Pierwszy biwak założyliśmy po około 500 m wspinaczki — prawie w środku ściany. Następny na końcu kuluaru, 250 m wyżej, osiągając planowane miejsce w nocy, przy świetle laterek czołowych. Trzeci i ostatni biwak, przy tym jedyny wygodny, wypadł nam już na nietrudnych polach podszczytowych, około 250 m przed szczytem. Biwakowałyśmy w płachtach, kurtkach i spodniach puchowych.

Po drugim biwaku, ze względu na duże załodzenie skały powyżej kuluaru, jako dalszą drogę wybrano wariant trudniejszy technicznie, za to krótszy: eksponowany trawers w prawo w kruchej skale — bardzo nieprzyjemny — a następnie krótki wyciąg wprost w górę (V). Dalsza droga wiodła nietrudnym już śnieżno-skalnym terenem, wyprowadzającym pod grań Zmutt w pobliżu wierzchołka.

W ATAKACH WICHURY

Niestety zerwał się wiatr — początkowo porywisty, potem coraz silniejszy, aż do natężenia prawie huraganu. Uniemożliwił on nam tego dnia osiągnięcie wierzchołka, co wydawało się być całkiem realne. Doszliśmy tylko w pobliże grani Zmutt i zdecydowałyśmy się zejść niżej, aby znaleźć miejsce na biwak choć częściowo zabezpieczające od wiatru.

Ten dzień, jak i następny przy więcej bez przerwy wietrze i temperaturze około —10 stopni stał się przyczyną odmrożeń u Ireny Kęsy, a także nadmiernego wychłodzenia organizmu. Od momentu, gdy zdałyśmy sobie sprawę, że jej stan jest groźny, najważniejszym dla nas problemem było znalezienie

Z HISTORII POŁNOCNEJ ŚCIANY

31.VII.—1.VIII.1931 — pierwsze przejście pn. ściany: Franz i Toni Schmid (złoty medal olimpijski).

20.VIII.—21.VIII.1961 — pierwszy zespół polski (Stanisław Biel i Jan Mostowski) — 18 przejście ściany.

13.—14.VII.1965 r. — pierwsza kobieta na północnej ścianie (Yvette Vaucher oraz Michel Vaucher i Othmar Kronig).

3—4.II.1962 — pierwsze zimowe przejście: Hilti von Allmen i Paul Etter oraz 2—5.II Erich Krempke, Leo Schlömmner, Werner Bittner, Reiner Kauschke i Peter Siegert.

18—19.III.1962 — pierwszy i jedyny zimą zespół polski, tylko do Schuler: Zbigniew Jurkowski, Jan Mostowski i Andrzej Nowacki.

18—19.VIII.1967 — pierwszy zespół kobiecy latem (Michiko Imai i Yoshiko Wakayama), waz z zespołem męskim filmującym przejście.

3—5.VIII.1977 — drugi zespół kobiecy: Anna Czerwińska i Krystyna Palmowska (T. 4/77 s. 152).

7—10.III.1978 — pierwszy kobiecy zespół zimą: Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska, Irena Kęsa i Wanda Rutkiewicz. Równoległe (7—9.III.) — wybitnie niesamodzielnie — pierwsza kobieta, Japonka Akiko Mitsunori (z mężem Shigi).

miejsca biwakowego, w którym można by było zabezpieczyć Irenę przed dalszym ogłębieniem się stanu ogólnego wychłodzenia. Północna ściana Matterhornu charakteryzuje się tym, że takich miejsc jest na niej bardzo niewiele. Jedynę, jakie w pobliżu wierzchołka można było znaleźć, znajdowało się w odległości 20—30 m od szczytu, na grani Zmutt. Po osiągnięciu wierzchołka przez prowadzącą tego dnia Krystynę Palmowską, pozostałe doprowadziły chorą na miejsce biwaku, aby jak najszybciej umieścić ją w płachcie biwakowej. Było to wczesne popołudnie. Mimo że brak widoczności i wiatr uniemożliwiły w naszym pojęciu jakąkolwiek akcję ratunkową, jeszcze w trakcie wspinaczki, w miejscu chwilowego postoju, około 80—100 m przed szczytem, postanowiłyśmy poprosić przez radiotelefon o pomoc. Podanie miejsca postoju a potem brak od nas dalszych informacji dziennikarze na dole zinterpretowali jako odstąpienie od wejścia na szczyt. Nie przypuszczano, że zespół będzie kontynuował wspinaczkę, w terenie zresztą zupełnie już łatwym.

Helikopter, mimo ciemności i wichury osiągającej prędkość 120—130 km na godzinę, przyleciał około 20 wieczorem, pilotowany przez znakomitego Toniego Loetschera. Opuszczeni na linie ratownicy René Arnold i Alfons Lerjen pomogli ewakuować ze szczytu Irenę Kęsę a wraz z nią Krystynę Palmowską. Oni też zadecydowali, że i pozostała dwójka — Anna Czerwińska i Wanda Rutkiewicz, które po biwaku miały same schodzić granią Hörnli — zostanie ewakuowana, aby w tak ciężkich warunkach zejście tego zespołu nie stwarzało niebezpieczeństwa kolejnej akcji ratowniczej.



Północna ściana Matterhornu z drogą braci Schmidów i miejscami biwaków Polek (do trzeciego biwaku wróciły one z grani)

Irena Kęsa została przewieziona wprost ze szczytu do kliniki w Visp, gdzie przebywała od 10 do 14 marca. W dniach od 14 do 24 marca leczyła się w klinice w Innsbrucku w Austrii, specjalizującej się w odmrożeniach. Dzięki akcji ratowniczej i szybkiemu rozpoczęciu leczenia, odmrożenia nie zakończyły się amputacjami.

EUROPEJSKIE ECHA

Pierwsze zimowe przejście północnej ściany Matterhornu w zespole kobiecym wzbudziło olbrzymie zainteresowanie w Szwajcarii i innych krajach alpejskich. Przebieg ataku relacjonowała prasa codzienna, radio i telewizja. Dopóki umożliwiało to pogoda, w trakcie wspinaczki robiono zdjęcia — zrówno z helikopterów, jak i z dołu, za pomocą 500-milimetrowego teleobiektywu. Dzięki oświadcze-

niu ratowników, którzy sprostowali błędną początkową informację o załamaniu się ataku przed szczytem, tytuły gazet codziennych i tygodników ilustrowanych świadczyły o najwyższym uznaniu dla naszego dokonania: „Zwycięstwo bez dyskusji”, „Jeden rekord więcej na Matterhornie”, „Sukces i dramat”, „Polki pokonały północną ścianę Matterhornu”, „Wspaniałe przedsięwzięcie Polek na Matterhornie” itp. Fachowy organ Sekcji Zermatt Schweizer Alpenclub — „Klubnachrichten” — poświęcił przejściu Polek cały swój numer 2/1978. Czytamy w nim co następuje:

„Co mamy sądzić o przedsięwzięciu polskiego zespołu żeńskiego? Poważnie przygotowane i wytrenowane, dobrze wyposażone, dokonały one wyczynu, który wśród czołowych wspinaczy budzi podziw. Przejściem swym dały one kolejny dowód, że kobiety są w alpinizmie w stanie dokonywać wybitnych czynów i obronną ręką wychodzić z najokropniejszych warunków(...) Do długiej historii zdobywania Matterhornu, począwszy od pierwszego wejścia Whympera w roku 1865 przez pierwsze przejście północnej ściany przez braci Franza i Toniego Schmidów latem 1931 roku, Polki dopisały nowy rozdział.”

To prawda, że nie zabrakło też dwóch głosów — jednego za granicą i jednego w kraju — które kwestionowały celowość tego typu przedsięwzięć kobiecych. Sprawa zahacza o problem znalezienia odpowiedzi na pytanie: „jaki jest sens alpinizmu w ogóle?” Co jakiś czas pytanie to powraca, i tak naprawdę, to nie znaleziono na nie jeszcze zadowalającej wszystkich odpowiedzi. Po prostu z pewnymi faktami trzeba się pogodzić bez ich uzasadnienia. A fakty w naszym przypadku mają mocną wymowę: przejście północnej ściany Matterhornu przez zespół kobiecy w zimie, to pierwsze czysto kobiece zimowe przejście alpejskie, a w ogóle kilkunaste z kolei zimowe przejście tej ściany. Ściana nie stała się łatwiejsza przez to, że pokonały ją kobiety. W połowie marca helikopter zdejmował z niej męski zespół austriacki, a w kilka dni później zginęła na niej czwórka Niemców.

Przejście Polek skłoniło też prasę szwajcarską do rozważań na inny temat: „a jak właściwie wygląda sprawa wspinania się kobiet w Szwajcarii i ile alpinistek u nas właściwie jest?”. Oznacza to wzbudzenie głębszego oddźwięku w społeczeństwie tego kraju, niż tylko bierna percepcja reportażu i relacji z północnej ściany. Popularność, jaką zespół polski zdobył w Szwajcarii, była bardzo miła, umożliwiła także załatwienie kilku spraw związanych z leczeniem Ireny, normalnie w Szwajcarii niemożliwych do pomyślenia. Przebywająca w szpitalu Irena spotkała się ze wzruszającymi dowodami sympatii nie tylko ze strony Polonii, ale i Szwajcarów. Pierwsze kwiaty, jakie otrzymała, przyniósł jej pilot helikoptera — następnego dnia po akcji, jednej z najtrudniejszych, jakie przeprowadzono w Alpach.

Macie dwa dni pogody...

Trzeba mieć wiele ciepłości, aby rozpalić ogień w małym żelaznym piecyku schroniska „Hörnli”, jednak perspektywa miłego uczucia ciepła jest wystarczającym bodźcem do pracy. Siedzę więc nad stertą drewnianych klocków i namiętnie ciosam je na coraz mniejsze kawałki. Dziewczyny czytają jakieś stare żurnale, znalezione w kuchennej szafie. Wanda i Krystyna wytrwale studiują artykuł o Elvisie Presleyu. Biedaczki nie wzięły ze sobą słownika, więc muszą się tylko domyślać znaczenia niektórych słów. Mimo to, Elvis wydaje mi się teraz bardzo znajomy. Przecież to już czwarty dzień intensywnych „zajęć świetlicowych”.

— „No, może dosyć tego rąbania? — krzyczy Anka. — Zobacz, zaśmieciłaś całą podłogę. Rozpal wreszcie ogień.

Anka przygotowuje palenisko. „Któryż to już raz?” — myślę. „Kiedy wyjdziemy wreszcie z tego mrocznego pomieszczenia? Kiedy skończą się opowieści o rozpustnym Elvisie i rozmowy na temat: Jak sądzicie, czy założymy jeszcze tej zimy?” A zaspą śniegu za oknami rośnie w oczach. Każdego ranka odczuwamy „spręż”, ale po całodzienniej obserwacji pogody tracimy nadzieję i wieczorem jesteśmy zupełnie oklapłe. A tak chciałybyśmy mieć już północną z głowy. Teraz czekamy tylko na wyjaśnienie, warunki w ścianie niech będą jakie chcą. Mamuśka (Krysia Palmowska) ugotowała mleczko. „Jak ona to robi, że zawsze przyrządza je akurat w chwili, gdy mam na nie wielką ochotę? Czy to tylko zbieg okoliczności, czy też ma jakieś osobliwe wyczucie?” Rzucamy się do gorącego napoju. Mamy pełną menażkę, ma pewno nas rozgrzeje.

— Wiecie co, z tego ognia chyba nic nie będzie; za mocno dmucha.

Dopiero wieczorem wiatr się uspokaja i robi się jakoś inaczej. Siadamy przy piecyku, nie myślimy o spaniu. Ostatni meldunek Krystyny o białych gwiazdkach na niebie podzielał jak kofeina. Ale nie rozmawiamy o lożniu. Urządzamy „spotkanie z piosenką”. Tematyka pieśni zdradza nasze nastroje: znajdujemy się nawet „Gdy naród do boju...”

*

Ranek jest piękny. Mgły leniwie ustępują, słyszymy warkot helikoptera. W kilka chwil później widać już pana Cachin, wymachującego do nas z otwartej kabiny futrzaną czapą. Przedtem Wanda otrzymuje wspaniałą wiadomość: „macie dwa dni pogody”. Natychmiast układamy plan taktyczny. Dzisiaj przetorujemy pod ścianę, a jutro wstajemy o pierwszej w nocy i wchodzimy...

— No to co, zbieramy się? — pyta Wanda.

— Dobra, dobra, a śniadanie to kto zje? — słusznie zauważa Anka.

Słońce razi niemiłosiernie. Po tylu dniach ciemnicy, taka jasność! Grzebiemy się w śniegu. A to dopiero krótki odcinek grani. Zacznie się długi trawers w prawo. Tu można polecieć z lawinką. No cóż, teraz nie mamy czasu czekać na warunki. A od jutra tylko dwa dni słońca. Są naszą ostatnią szansą. Wanda obsuwa się z małą deską, ale tylko trochę. Zmieniamy się często. Ruchy pierwszej podobne są do ruchów pływaka. Szkoda tylko, że nie mają tej samej skuteczności. Cholernie zimno! Wreszcie jesteśmy pod ścianą — widać szeroką szczelinę brzeżną. Wanda znalazła jej słaby punkt i ostrożnie przymierza się do przeciwległego brzegu. Wreszcie naznacza czekaniem pierwsze ślady na pierwszym metrze północnej ściany Matterhornu.

— Dobra, to wystarczy — krzyczymy — zostaw coś na jutro!

*

W Hörnli-Hütte jest już małżeństwo Japończyków. Dopiero co przyszedli z Zermatt. Wyciągają swój ryż i zabierają się do gotowania. Muszą przecież dobrze zjeść przed czekającą ich pracą. Proponujemy im naszą suszoną kiełbasę, ale to na nich nie robi wrażenia. Prowadzimy więc towarzyską rozmowę przy herbatce „Madras” w bliżej nieokreślonym języku. Teraz czas goni jak wariat. Jest późno a my jeszcze nie skończyliśmy pakowania worów. Wciąż wyskakują jakieś drobnostki, które należy zrobić, a cenne minuty upływają bezpowrotnie. Wreszcie gramolimy się do „sympialni”. Japończycy śpią przytuleni do siebie, przerabiając ryż na cenne kalorie ciepła i siły. My owijamy się w koce i bezskutecznie walczymy z tremą, powoli w nas wstępująca. Wreszcie zmęczone walką, zarządzamy krótkie zawieszenie broni i zasypiamy.

*

Cholerny mróz. Gwiazdy. Idealna cisza. Idziemy po wczorajszych śladach.

— Jak to dobrze, że je mamy. Będziemy szybko pod ścianą — cieszę się głośno.

— Japończycy pójdą jeszcze szybciej — odpowiada Anka. — Mają teraz wygodną ścieżynę.

Jest 4.45 — wchodzę w ścianę. Głuche tapnięcie mostka nad szczeliną dodaje mi skrzydeł. Ruszają dziewczyny. Śnieg jest dobry. Spodziewaliśmy się, że będzie kopny, a tu z każdą czterdziestką robi się twardziej. Staję, by schować czołówkę. Widzę w dole małą sylwetkę Japończyka, połączonego z żoną cienką nicią liny. Są na pierwszym wyciągu. Zmienia mnie Wanda. Godziny biegną jedna za drugą. Ostatnie wyciągi na polach są już

czysto lodowe. Teraz tamci nas doganiają. To źle, zablokują wejście w kuluar. Mąż jest wyraźnie szybszy od swojej żony. Japonka ma duże trudności w skale. W lodzie radzi sobie lepiej, idąc na czubkach idealnie wyostrzonych raków. Krystyna wpada na pomysł wyprzedzenia ich, ale w momencie zrównania się z Japonką musi udzielić jej pomocy. Japonka nie może pokonać przewieszki. Mamuśka zapiera się w zacięciu i ustawia stopy na szerszej rywalki na odpowiednich stopniach. Tak wspierając ją z dołu, dochodzi do stanowiska. Patrzymy na to pełne obaw. Krysia ma na przelocie bardzo słabe haki, a jeśli Japonka obsunie się i wytrąci ją z równowagi, to...

Dzień mija nie wiadomo kiedy. Gdy dojdę na poprzednie stanowisko Krystyny, jest już szaro. Mała platformka dla trzech osób. Znosi się na biwak w tym miejscu. Japończycy w każdym razie kończą swoje przygotowania do nadchodzącej nocy. Słyszymy miłe słowa zachęty. „My zmieścimy się wszyscy”. Mamy inne zdanie, czekamy więc na meldunek Krystyny, która kończy wyciąg. Może tam znajdzie jakąś półkę. Wszelkie nadzieje przekreśla jedno mocne słowo, wykrzyknięte w górę przy ostatnim metrze liny. Wkrótce Mamuśka jest z nami i z pasją rąbie lód wokół platformki. Niestety, czynność ta nie powiększa powierzchni biwaku.

Wchodzimy do płacht i staramy się przyjąć pozycje możliwie jak najlepiej dostosowane do sytuacji. Niestety jest niewygodnie, ciasno. Zsuwam się ze swojego miejsca i obciążam auto. „Ach, gdyby tak mieć hamak” — myślę, ale zaraz przestaję marzyć o nim, jako o czymś, co mogłoby rozwiązać problem. Haki są tu przecież tak słabe, że boimy się przypiąć do nich worki. Nie zaryzykowałamby powieszania na nich hamaka.

Długą mroźną noc wypełniamy gotowaniem i snem. To pierwsze przychodzi nam łatwiej, ze snem mamy znaczne kłopoty. Nie trwamy długo w naszych „optymalnych” pozycjach. Nad ranem myślimy tylko o jednym: zbierać się szybko i w górę.

*

Tego dnia walczyliśmy w kuluarze. Jest bardzo dużo lodu. Są trudności z asekuracją. Możemy wbijać tylko cienkie haki, a i te siedzą kaprawo. Mimo to, wspinaczka jest podniecająca. Dotykamy lodu tylko końcami ostrzy młotka, czekana i raków. Jedynie lina przylega do niego większą powierzchnią i muska go pieszczotliwie.

— Patrzenie w dół! Jacyś trzej łożarze są już przy końcu pół — woła Anka.

Rzeczywiście widzę trzy sylwetki, poruszające się w obłędnym tempie. Niebawem poznamy je z bliska. To znów Japończycy, uwiązani do jednej czterdziestki. Idą prawie bez asekuracji. Prowadzi stale jeden. Są doskonali w lodzie. Mają jednakową, niczym nie hamowaną prędkość. Zdaje się, że pochłaniają kolejne metry lodu. Wchłonęli także naszych konkurentów, i gdy Wanda walczy o



Krystyna Palmowska na polach lodowych północnej ściany Matterhornu.

Fot. Wanda Rutkiewicz

zmroku w kominku kończącym kuluar, ich światełka widać już sto metrów nad nami.

Patrzymy na Wandę niecierpliwie. Stoimy w fatalnym miejscu, z prowizoryczną wręcz asekuracją. Z góry dochodzą pyłówki. Zrywa się wiatr. Wiadomo, dobiega końca drugi dzień. Zgodnie z prognozami teraz pora na kolejne załamanie pogody. „Ach, żeby już Wanda znalazła jakieś miejsce na biwak” — myślę. Nie wyobrażam sobie nocy przestanej na jednej nodze.

Kolejny biwak wypada na bardzo stromym, małym półku śnieżno-lodowym. Niestety tu również nie ma nadziei na jakiegokolwiek wygody. Nie można nawet gotować. Wszystkie czynności komplikuje ciasnota i szarpający płachtą wiatr, przybierający na sile z każdą godziną. Pyłówki stają się nie do zniesienia. Ogarnia mnie zmęczenie. Z przymkniętymi oczami myślę o dzisiejszej wspinaczce. Było fajnie. Nie czułyśmy się same w tej ścianie. Częste wizyty helikoptera stwarzały duchową łączność z przyjaciółmi, którzy oczekiwali nas w Zermatt. Zresztą miasto było wyraźnie widoczne. Chyba widziałam, w którym miejscu znajduje się nasz hotel, z jego troskliwą, wyrozumiałą gospodynią, panią Paulą Biner. Ju-

tro będziemy tu już same. Ścianę ogarnęły chmury, a i naszych sąsiadów nie słychać w górze w hałasie, jaki wyczynia wiatr. Jest wciąż cholernie zimno i ciasno.

— Mam tego dosyć — krzyczy Krystyna w chwili, gdy po raz nie wiem już który, obsuwam się jej na głowę. — Nie wytrzymam dłużej w tej pozycji, zresztą i tak można powoli likwidować biwak, zaraz zacznie świtać. Co za paskudna noc, kiedy wreszcie znajdziemy miejsce, gdzie będziemy mogli usiąść jak ludzie?

Staramy się uspokoić ją, ale niestety nie mamy argumentów, ani wewnętrznego przekonania o tym, że w istocie rzeczy wcale nie jest tak źle. Tylko Wanda okazuje krztynę humoru i mówi:

— Wygodnie usiądziemy na wierzchołku.

— Dobrze! — podchwytuje Anka. — Pomykajmy więc żwawo do góry.

Ścianę otula biały welon pyłówek. Teraz jeszcze kilka wyciągów w skałę i pola szczytowe. Trzeba się jednak śpieszyć, bo wiatr ma już solidną moc. Niestety, nie jest to proste. Znajdujemy się nadal w trudnym terenie. Ale Krystyna prowadzi dzielnie, wprawiona w ruch energią porannej egzaltacji. Około południa zmieniam ją i niebawem wychodzę na pola podszczytowe. Wiatr zdaje się teraz zajadłe bronić dostępu do grani. Idziemy na osiemdziesiątkach. Około godziny 17 brakuje mi tylko 10 metrów do grani szczytowej. Niestety już wiem, że dzisiaj jej nie osiągniemy, mimo iż jest tutaj dziecinnie łatwo. Nie zdążymy przed nocą osiągnąć wierzchołka. Ryzyko biwaku na grani w tym wietrze jest zbyt duże.

— Dziewczyny dzisiaj musimy dobrze wypocząć — woła Wanda. — Jutro czeka nas walka z wiatrem. Zejdźmy z powrotem jakieś sto metrów. Zostawimy liny. Tam jest pole, w którym na pewno coś wykopiemy.

Wanda miała rację. Już po kilku uderzeniach czekanem mamy szansę, by tej nocy przyjąć pozycję siedzącą. Po godzinie pracy półka jest gotowa. Teraz szybko do płacht, bo zaczyna się istne lodowate piekło.

Tymczasem czuję, jak efekty zimna poprzednich nocy kumulują się we mnie. Z trudem opanowują przeraźliwy ból w palcach prawej ręki. Teraz dopiero zauważam, że również moje nogi są zmarznięte. Ból w palcach nie ustępuje, staje się jeszcze bardziej dotkliwy. Z wolna pojawiają się pęcherze. Siabnę. Staram się pomagać Wandzie w gotowaniu posiłku, wszystkie czynności przechodzą mi jednak jakby z oporem. Jesteśmy senne. Grozi to wytrąceniem palnika i postawionej na nim mezażki. Wreszcie gorąca herbata dostarcza nam dawno zapomnianego uczucia ciepła. Na krótko — szkoda. Ale nie mamy już siły więcej gotować. Zасыpiamy, trzymając w rękach brzeg targanej wichrem płachty.

*

Ranek. Wiatr nie siabnie. Nadal schodzą pyłówki. Jest cholernie zimno! Ruszamy. Dzisiaj zapewne osiągniemy wierzchołek. Potem koniecznie trzeba zejść do schronu „Solway”. Dziewczyny są jeszcze dobre, ale ja czuję się coraz gorzej. Około południa nie mogę już ruszać nogami. Utraciłam w nich czucie. Zachowuję się, jak świeżo zaprotezowany pacjent, po amputacji goleni. Dłonie też nie chcą się zamykać na główicy czekana. Wiatr wciska w oczy ostre ziarenka zmarzniętego śniegu. Miota się szaleńczo we wszystkich kierunkach. Nie mogę oddychać. Powoli tracę kontakt z rzeczywistością. Dziewczyny decydują się wezwać pomoc. Ufam im. Będę dla nich ciężarem, ale z wiarą poddaję się ich opiece.

ROZMOWY

☆ Red. Janusz Pac przeprowadził w „Trybunie Ludu” z dnia 24 kwietnia 1978 r. rozmowę z Wandą Rutkiewicz o kobiecym alpinizmie wyprawowym. „Raz na trzy lata — powiedziała Wanda Rutkiewicz — GKKFIT udziela dotacji na pokrycie pełnych kosztów wyprawy narodowej w Himalaje, dla której wybierane są najtrudniejsze cele. Zwyczajowo i niejako automatycznie zarząd Polskiego Związku Alpinizmu zakłada, że musi to być wyprawa męska. Nie zdarzyło się, poza jednym wyjątkiem, by brały w niej udział kobiety. (...) Jest to dla nas krzywdzące, że nie uważa się za sprawę oczywistą potrzeby organizowania co pewien czas również ekspedycji kobiecych.”

☆ Interesujący wywiad z Arnem Puškąsem zamieścił marcowy numer „Slovenska”. Arno mówi o swoim stosunku do gór i do taternictwa, a także o roli Tatr w edukacji alpinisty. „Taternictwo —

stwierdza — nie jest dla mnie tylko sportem (...) Ja z taternictwa stworzyłem sobie swego rodzaju zabawę intelektualną, a ściślej mówiąc, nawet nie zabawę, lecz serio traktowany sposób życia. Nie wiąże się to tylko z górskim wyczynem, choćby dlatego, że u większości wspinaczy wyczyn szybko przestaje być wyczynem.”

☆ 1 kwietnia 1978 r. Telewizja Polska nadała rozmowę z A. Ciszewskim, W. Wilkiem i W. W. Wiśniewskim — uczestnikami wyprawy do Lamprechtsofen.

☆ Krakowskie „Tempo” w cyklu „Ludzie gór” zaprezentowało sylwetkę Wojciecha Kurtyki (nr 33, 24 kwietnia 1978). „Ostry dyżur” — tytuł dużego artykułu Jacka Zemanowskiego w „Sportowcu” z 27 lutego 1978 o Janie Serafinie — alpinistcie i lekarzu-chirurgu. W piśmie WOP „Granica” z dnia 23 kwietnia 1978 przeczytać można interesujący wywiad Henryka Piecucha z Jerzym Pietkiewiczem prezesem Sudeckiego KW i współzodbywcą filara Sschaurya.

PERSONALIA

☆ Ceskoslovenský horolezecký svaz ogłosił skład kadry narodowej na r. 1978. Tworzą ją następujący alpinści (w nawiasach lata urodzenia): Petr Bednařík (1948), Jiří Beneš (1954), Andrej Belica (1956), Zdislav Drlik (1948), Jiří Janiš (1950), Igor Koller (1952), Vladimír Launer (1947), Indřich Martíš (1952), Miroslav Pelc (1950), Josef Rakoncaj (1951), Josef Rybička (1952), Jaromír Stejskal (1949), Jiří Smid (1946), Ján Spaník (1948) i Vladimír Tatarka (1945). Średnia wieku kadry wynosi 27 lat.

☆ W konkursie na najlepiej wydaną książkę roku 1977 główną nagrodę w dziale publikacji technicznych otrzymało dzieło Jerzego Mierzejewskiego, członka honorowego KW Warszawa, pt. „Serwomechanizmy obrabiarek sterowanych numerycznie”. W dziale albumów główną nagrodę przyznano książce „Współczesna rzeźba polska” — Andrzeja Osęki i Wojciecha Skrodzkiego, również taternika.

Grań Tatr Wysokich ćwierć wieku temu

W początku lata 1953 r. przygotowaliśmy w zespole Wiesław Czyż, Jerzy Honowski, Zbigniew Rubinowski, Marek Stefański i Stanisław Biel przejście grani Tatr Wysokich nowym, nie przebywanym dotąd wariantem. Do tego czasu miały miejsce 4 udane przejścia „grani głównej” — od Przełęczy pod Kopą po Liliowe lub odwrotnie (1. Górka i Paszucha, 2. Jakubowski i Węgrzynowicz, 3. Zaboj i Zachoval, 4. Kuchař i Svatoš). My zdecydowaliśmy się na przejście grani od Rakuskiej Przełęczy po Krywań, z wejściem na Gierlach, uważaliśmy bowiem, że jest to najciekawsza z logicznych możliwości przebycia grani Tatr Wysokich: dłuższa, trudniejsza i bardziej reprezentatywna od klasycznej „wielkiej grani”. Obliczyliśmy, że przewodnikowy czas przejścia tego wariantu wynosi 95 godzin — przy 81 godzinach dla wariantu klasycznego. Idąc według naszego pomysłu pokonać trzeba grań Widel „pod włos” (6 godzin IV z paroma metrami VI), przejść Kieźmarski, Łomnicę, Durny, a także całą „rosochę” krywańską. Pokonuje się przy tym 13 z 15 najwyższych szczytów Tatr.

Przejście grani miało być i było w pełni samodzielne — bez grup wspomagających czy założonych wcześniej składów żywności. Ruszyliśmy na grań tylko z tym, co mieliśmy na własnych plecach. A było co dźwigać, nie dysponowaliśmy przecież jeszcze lekkim ekwipunkiem i sprzętem, nie mieliśmy nie tylko maszynek butanowych, ale nawet benzyno-

wych. Musieliśmy zabrać z sobą 6 l denaturatu i gumowe termofory na wodę.

Przejście dokonane zostało od 13 do 20 sierpnia. W ostatnim dniu na Hrubym spotkaliśmy Henryka Bednarka i Zbigniewa Jaworowskiego, którzy wyruszyli z Krywania z zamiarem zrobienia grani w przeciwnym kierunku. Mnie nasunęła się wtedy myśl, że oto nadarzy się okazja przejścia grani tam i z powrotem. Obaj koledzy dysponowali rezerwowym zapasem żywności, ukrytym pod Żelaznymi Wrotami, zaakceptowali więc chętnie moją propozycję. Po osiągnięciu Krywania pożegnałem swoich dotychczasowych partnerów i granią wróciłem na Koprową Przełęcz, gdzie czekali na mnie Bednarek i Jaworowski.

Niestety nasze plany pokrzyżowało głębokie załamanie pogody, które zaskoczyło nas 22 sierpnia w drodze ku Wysokiej — najpierw w postaci ulewnego deszczu, a w nocy — śnieżycy. Przemoczeni na wskroś wraz ze śpiworami i żywnością, spędziliśmy noc pod głazem w górnej części Doliny Rumanowej. Ratując się przed chłodem, dużo gotowaliśmy i w efekcie wyczerpaliśmy cały zapas prowiantów i paliwa. Utrzymujące się opady z mgłą i brakiem widoczności zmusiły nas do odwrotu. Przetrawersowaliśmy do Doliny Złomisk, gdzie z trudem odszukaliśmy maliniak z ukrytym pod nim składzikiem. Następnie w bardzo ciężkich warunkach przeszliśmy przez oblodzone Żelazne Wrota do Doliny Kaczej. Jak się niebawem okazało, była to

Tatry Wysokie — im-
presja



Rys. Arno Puškáš 1977
(tusz)

decyzja jedynie słuszna: do wysokości Dolinki za Mnichem śnieg utrzymywał się przez tydzień, a sprzęt, jakim dysponowaliśmy w tamtych czasach, uniemożliwił prowadzenie działalności w takich warunkach.

Szczupłość łamów „Taternika” nie pozwala mi na przedstawienie wykazów sprzętu i żywności, a byłyby one bardzo dla dzisiejszych taterników ciekawe. Dodam tylko, że wielką nowości stanowiły wówczas wibrany, oprócz których mieliśmy też tzw. trampki; menu opierało się głównie na przetworach mlecznych i zbożowych. Teresa Rubinowska ususzyła dla nas też 2 kg kiełbasy, zzieleniała ona jednak w środku tak podejrzanie, że przed przekroczeniem granicy spożyliśmy jej sporo na próbę, czy nie będzie trująca.

Podczas przejścia trzymaliśmy się uciążliwie samej grani, wchodząc na wszystkie ważniejsze szczyty i turnie. Również biwaki zakładaliśmy na górze. A oto skrócone horarium całej eskapady.

13 VIII 1953, godz. 5–18 Rakuska Przełęcz — Baranie Rogi. Biwak na stoku Baraniej Turni.

14 VIII, godz. 7.30 — 18.15 Baranie Rogi — Jaworowy Szczyt. Biwak na głównym wierzchołku.

15 VIII, godz. 7 — 18.30 Jaworowy Szczyt — Polski Grzebień. Biwak na stoku Wielickiego Szczytu.

16 VIII, godz. 8 — 19 Wielicki Szczyt — Wschodnie Żelazne Wrota. O godz. 13 byliśmy na wierzchołku Gierlachu. Biwak pod przełęczą.

17 VIII, godz. 7.45 — 14.45 Wschodnie Żelazne Wrota — Rumanowa Przełęcz. Biwak w rejonie przełęczy.

18 VIII, godz. 6.30 — 18.15 Rumanowa Przełęcz — Przełęcz pod Chłopkiem. Biwak na przełęczy.

19 VIII, godz. 6.45 — 17.45 Przełęcz pod Chłopkiem — Hlińska Turnia. Biwak na szczycie.

20 VIII, godz. 7.30 — 17.30 Hlińska Turnia — Krywań (godz. 14 — zejście kolegów) — Koprówka Przełęcz. Biwak na przełęczy.

21 VIII, godz. 7 — 16 Koprówka Przełęcz — Żabia Turnia Mieguszowiecka. Biwak na stoku turni.

22 VIII, godz. 7 — 13.15 Żabia Turnia — Wysoka. Od 10 mgła i deszcz, stopniowo przechodzący w ulewę. Biwak w Dolinie Rumanowej — w nocy śnieg.

Łączny czas przejścia wybranego przez nas wariantu grani Tatr Wysokich, obliczony z przewodnika Kroutila i Gellnera (1947), wyniósł 95 godzin. Przejście nie było nigdzie opisywane, nie wzmiankuje go też I tom serii „W skałach i lodach świata”. Ponieważ było dużym jak na owe czasy wyczynem — warto je przypomnieć, korzystając z okazji 25-lecia.

OD REDAKCJI. Uczestnicy przejścia, wówczas studenci, są dziś ludźmi „na stanowiskach”, nie tracą jednak kontaktu z górami, prowadząc wyprawy, a nawet odnosząc takie sukcesy sportowe, jak Zbigniew Rubinowski w Himalajach. Czym się zajmują? Mgr inż. Stanisław Biel jest głównym specjalistą do spraw wdrożeń i eksportu Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie, gdzie pracuje też prof. dr Wiesław Czyż, fizyk-teoretyk, członek PAN. Mgr inż. Jerzy Honowski, leśnik, kieruje jednym z największych nadleśnictw beskidzkich, w Limanowej, doc. dr Marek Stefański bawi od kilku lat w Genewie — jako polski ekspert w Komisji Energetycznej ONZ. Doc. dr Zbigniew Rubinowski jest kierownikiem zakładu w Oddziale Świętokrzyskim Instytutu Geologicznego. Wreszcie dwójka idąca granią w przeciwnym kierunku: mgr inż. Henryk Bednarek pracuje w Biurze Projektowym Budownictwa Komunalnego w Krakowie, zaś prof. dr Zbigniew Jaworowski jest kierownikiem Zakładu Higieny Radiacyjnej Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie. Zdjęcia wszystkich uczestników zamieszczamy na III stronie okładki.



Świstowa Grań od północy

Chciałbym zaprezentować Czytelnikom mało znany i dotąd nie posiadający kompletnego monograficznego opracowania zakątek Tatr. Fragmentaryczne opisy znajdują się w przewodnikach W. H. Paryskiego („Tatry Wysokie” t. IV s. 183—204) oraz F. Kroutila „Vysoké Tatry pro horolezce” t. 2 s. 180—185 — FK), a opisy paru później poprowadzonych dróg publikowane były na łamach „Taternika”. Niniejsze opracowanie stanowi próbę monograficznego ujęcia wszystkich dróg wspinaczkowych w północnych ścianach Świstowej Grani — od Świstowego Rogu do Skrajnej Świstowej Turni. Jego publikacja jest tym bardziej celowa, że istnieją tu jeszcze połączenie ścian i zboczy oczekujące na wcale logiczne rozwiązania. Oto wykaz dróg wraz z wariantami:

1. *Świstowy Róg* pn.-wsch. ścianą — I wejście T. Orłowski i M. Zajączkowski, 1 XI 1937. Trudności III, 2 godziny. Opis WHP 2120, FK 1270.
2. *Świstowy Róg*. pn. filarem — I wejście M. Harasimowicz i L. Skarżyński, 7 IX 1977. Trudności V, AO, 5 godzin. Schemat drogi w tym numerze.
3. *Świstowy Róg* lewym kominem pn. ściany — I. wejście R. Gajewski i B. Probulski, 25 VIII 1974. Opis T. 1/75 s. 36.

4. *Świstowy Róg* filarem pn. ściany — I wejście J. Balada i S. Horn, 18 VII 1975. Trudności IV+, 7 godzin. Schemat w tym numerze. II wejście (z nowym wariantem A) A. Bieluń i J. Tillak, 7 IX 1977. Trudności wariantu VI (?), rys. s. 87.

5. *Świstowy Róg* prawą częścią pn. ściany — I wejście J. Doubrava i S. Horn, 17 VII 1975. Trudności IV, 4 godziny. Schemat w tym numerze.

6. *Zadnia Świstowa Turnia* pn.-wsch. ścianą ze zlebu spadającego z Niżniej Świstowej Przełęczy na wsch. wierzchołek — I wejście taternicy czechosłowaccy — członkowie HO TJ CKD Kompresory, 25 VII 1977. Trudności IV, 3 godziny.

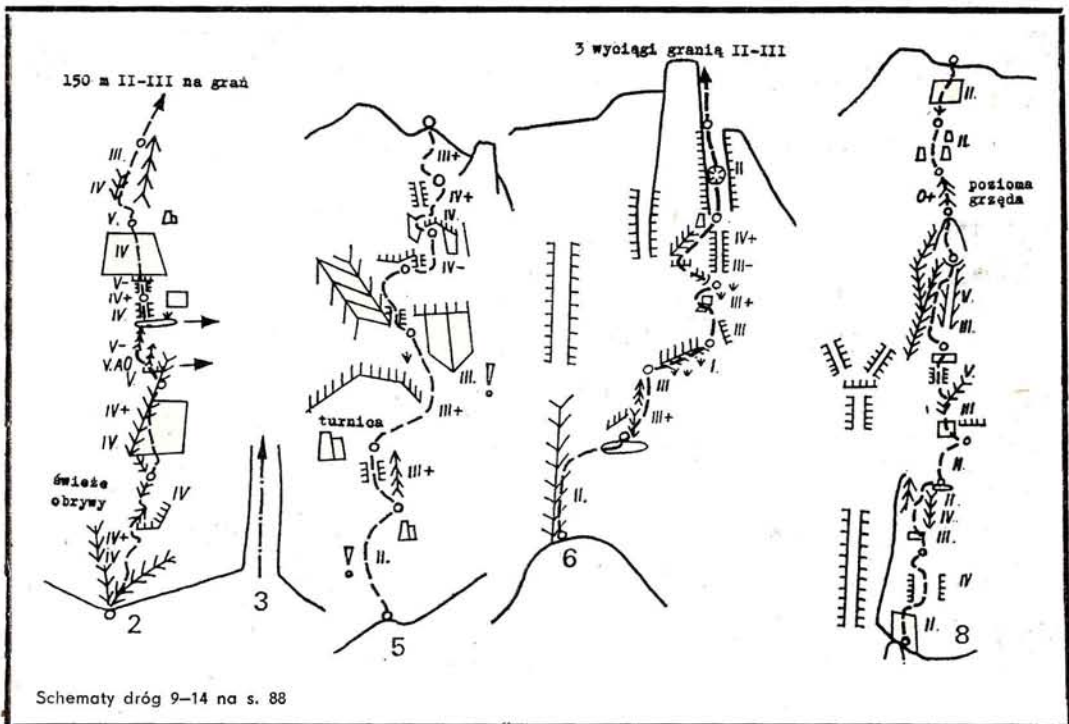
7. *Zadnia Świstowa Turnia* lewą częścią pn. ściany na wsch. wierzchołek — I wejście Barbara Zurek i K. Zurek, 3 IX 1977. Trudności IV, 2 godziny. Opis T. 4/77 s. 179.

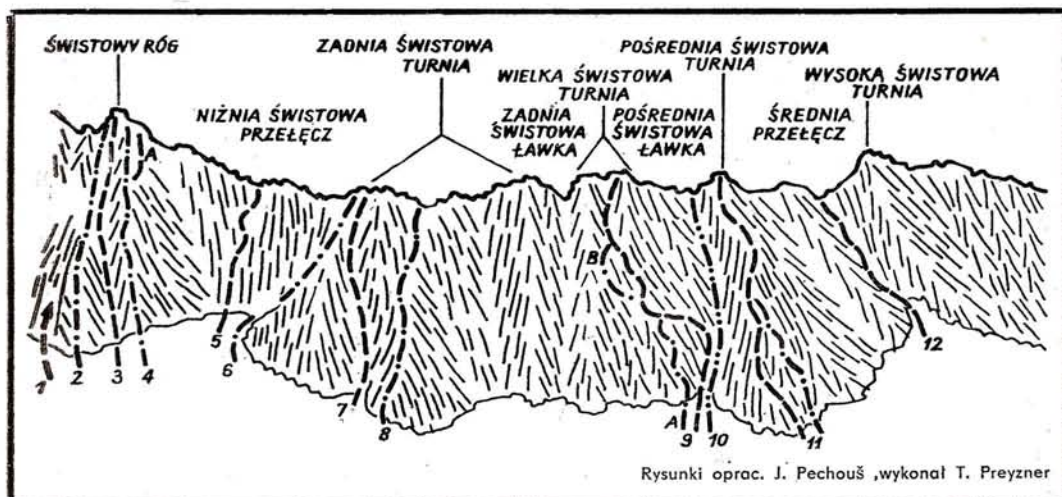
8. *Zadnia Świstowa Turnia* filarem pn. ściany na przełączkę między wierzchołkami — I wejście J. Pechous i I. Rigel, 24 VIII 1976. Trudności V, 5 godzin. Schemat w tym numerze.

9. *Wielka Świstowa Turnia* pn. ścianą zach. wierzchołka — I wejście Lejsek i A. Machań, 18 VII 1976. Trudności IV+, 3 godziny. Schemat w tym numerze. II wejście (z nowymi wariantami A. i B.): W. Cywiński i M. Pawlikowski, 7 IX 1977. Trudności IV, 2 godziny. Opis T. 4/77 s. 179.

10. *Pośrednia Świstowa Ławka* pn. kominem — I wejście S. Łukaszczuk i J. Muskat, 7 IX 1977. Trudności V, 2 1/2 godziny. Opis T. 4/77 s. 179.

11. *Pośrednia Świstowa Ławka* lewym filarem pn. ściany — I wejście taternicy czechosłowaccy,





członkowie HO TJ ČKD Kompresory, 23 VIII 1977. Trudności IV+, 3 godziny. Schemat w tym numerze.

12. Średnia Przełęcz pn. żlebem — I wejście M. Matysková, M. Pechoušová, J. Pechouš i I. Rigel, 23 VIII 1976. Trudności IV, 3 godziny. Schemat w tym numerze.

13. Wysoka Świstowa Turnia pn.-wsch. filarem — I wejście W. Cywiński, J. Klamerus i K. Zurek, 25 VIII 1974. Trudności V, 3 godziny. Opis T. 1/75 s. 36.

14. Skrajna Świstowa Turnia filarem pn.-wsch.

ściany — I wejście taternicy polscy 18 VIII 1967. Brak opisu — wzmianka WHP 2127.

Na zakończenie zwracam się — wespół z Redakcją — z apelem o nadsyłanie ewentualnych sprostowań i uzupełnień, które wraz z niniejszym opracowaniem mogłyby stanowić aktualny zbiór informacji o zaprezentowanym rejonie.

Przekład i uzupełnienia Tadeusz Preyzner

TADEUSZ SOLICKI

Prusiki, małpy, gibbsy

Przeszło sto lat temu Austriak, dr Karl Prusik, przeniósł do alpinizmu pomysły węzeł zaciskowy, którym wiązał zerwane struny fortepianowe... Węzeł Prusika był swego rodzaju przełomem — alpinści dostali do ręki nowy, doskonały „patent”. Szybko jednak okazało się, że oprócz niewątpliwych zalet ma on pewne wady. Jest nie najwygodniejszy w obsłudze, wymaga doboru odpowiedniej pętli, źle pracuje na linach załodzonych czy mokrych. Wysiłki konstruktorów zwróciły się więc w kierunku wymyślenia przyrządu, który — spełniając zasadę węzła Prusika, tj. zaciskając się pod obciążeniem na wiszącej linie — wyeliminowałby opisane wyżej wady.

Erę takich przyrządów zapoczątkował opatentowany w Szwajcarii przez Waltera Marti słynny „jumar”, używany z powodzeniem do dziś nie tylko przez alpinistów ale również np. przez robotników pracujących na wysokościach. Dzisiejsza wersja jumara posiada ramę (uchwyt), wykonaną jako odlew z lekkiego metalu, w której osadzony jest „język”, dociskany do liny za pomocą sprężyny. Powierzchnia języka pokryta jest drobnymi kółkami, zapobiegającymi ześlizgiwaniu się obciążonego przyrządu wzdłuż liny. Niezbędny

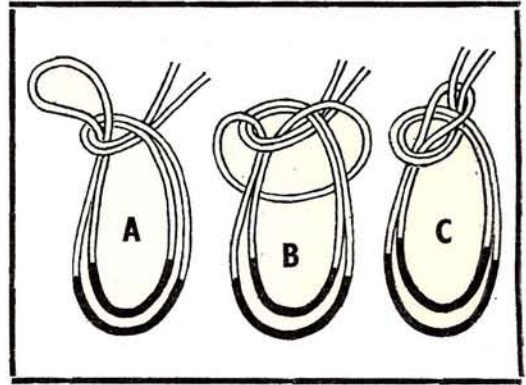
dodatek stanowi bezpiecznik, chroniący przed przypadkowym wysunięciem się liny.

Niemal równolegle, francuski speleolog i konstruktor sprzętu alpinistycznego, Ferdinand Petzl (nota bene członek honorowy PZA) skonstruował podobny w działaniu automatyczny zacisk, znacznie lżejszy, bo pozbawiony ramy, ale też i mniej wygodny w użyciu.

Kolejnym „patentem” był przyrząd opracowany przez niemieckiego alpinistę Hieblera („Hiebler-Klemme”). Podstawową nowością tego modelu była nieco inna zasada działania: w odróżnieniu od obu poprzednio wymienionych zginął on na linę w miejscu, gdzie był na niej ucepiony. Wspomniany efekt powodowało umiejscowienie punktu zawieszenia wspinacza — asymetryczne w stosunku do osi liny. O ile jumar do dziś cieszy się zasłużonym uznaniem, o tyle przyrząd Hieblera ma wielu przeciwników, zwracających uwagę na to, że szybko niszczy on liny, a to wskutek występowania znacznych kątów ich przegięcia.

Do r. 1972 w dziedzinie przyrządów do wchodzenia po linie zapanował względny spokój, producenci nie usiłowali zabić nowych rozwiązań. Powiew nowości przyszedł tym razem z oceanu. Niewielka fabry-

czka, kierowana przez Harolda L. Gibbsa, wypuściła na rynek amerykański nowy przyrząd, nazywany od nazwiska konstruktora „gibbssem” (por. T. 3/76 s. 140). Pomysłowa konstrukcja, polegająca na wykorzystaniu efektu mimośrodowego (przesunięcie punktu zaczepienia wspinacza w stosunku do osi liny — w znacznie jednak mniejszym stopniu niż w przyrządzie Hieblera) przy jednoczesnej rezygnacji ze sprężyny dociskającej język, dała w efekcie instrument niezawodny w działaniu, i to bez względu na zalodzenie czy zabłoconie liny. Przy wchodzeniu po linie do góry, zalecane jest stosowanie trzech „gibbsów”, jednak przy pokonywaniu niewielkich odcinków wystarczą dwa, a linę przeprowadza się wówczas przez karabinek przy pasie asekuracyjnym — możliwie blisko ciała, chodzi bowiem o zachowanie pionowej pozycji wspinacza. Do nóg (zob. rysunek) przymocowuje się zaciski za pomocą cienkich taśm styłonowych. Podstawową zaletą „gibbsów” jest niezwykle łatwość przesuwania się w górę: wprawni wspinacze po-



trafią z nimi o połowę skrócić czas wchodzenia — w stosunku do wyników osiąganych z użyciem np. jumarów.

Badania wytrzymałości lin, które wykorzystywane były do wchodzenia z użyciem różnych typów zacisków, wykazały, że „gibbsy” są dla lin najprzyjaźniejsze — niemal wcale nie wpływają na zmianę ich parametrów wytrzymałościowych.

Trzeba jednak pamiętać, że nawet najwspanialszy sprzęt, to nie wszystko. Potrzebna jeszcze technika, a z nią nadal nie jest najlepiej. Teren, który pokonujemy wchodzeniem po linie, ma na ogół charakter urozmaicony — w jednym miejscu posuwamy się w kontakcie ze ścianą, w innym znów lina zwisa w pewnej od niej odległości. Dlatego też najbardziej efektywna wydaje mi się technika opisana niżej. Wspinacz zaopatrzony jest w dwa zaciski. Górny przywiązany jest bardzo krótką pętlą do uprząży asekuracyjnej. Podczas wchodzenia utrzymuje on ciało wspinacza w pozycji pionowej, w chwilach odpoczynku zaś — zapewnia mu wygodną pozycję siedzącą. Częstym błędem jest przywiązanie go tylko do pasa asekuracyjnego — uciskana klatka piersiowa nie pozwala wtedy na odpoczynek i prawidłowe krążenie krwi. Zacisk dolny powinien być zaopatrzony w pętlę, zakończoną strzemiaczkami na stopy — długość pętli zależna jest od wzrostu wspinacza i waha się w granicach 50—80 cm. Ruch w górę odbywa się trzema fazami:

I — wspinacz stoi wyprostowany w pętlach nożnych, obciążając dolny zacisk, górny natomiast utrzymuje go w pozycji zbliżonej do pionowej.

II — wspinacz przesuwa ręką dolny zacisk jak najwyżej, podkurczając przy tym nogi. Jego ciężar zawieszony jest teraz na przyrządzie górnym.

III — wspinacz prostuje ugięte nogi, przenosząc obciążenie na zacisk dolny i przesuwał się tym samym w górę o około 1 m. Przy prawidłowo założonym górnym przyrządzie, nie ma potrzeby jego dodatkowego obsługiwania — w opisanej fazie ruchu, samoczynnie przesuwa się on w górę.

Pętle na stopy należy przygotować zgodnie z zaleceniami podręczników alpinizmu, przypomnianymi na rycinie 2 (odcinki zaczerp-



Rys. T. Solicki

ne na rysunku należy ułożyć w strzemiączka).

Proponowana wyżej technika jest, oczywiście, jedną z wielu, wydaje się jednak, że w terenie mieszanym może uchodzić za uniwersalną. Krótka pętla górnego przyrządu pozwala m.in. na łatwe przechodzenie okapów i miejsc, gdzie lina biegnąca dotychczas swobodnie w powietrzu, zaczyna dotykać skały. Wystarczy bowiem — w chwili gdy górny przyrząd dochodzi do miejsca kontaktu liny ze ścianą — odepchnąć się nieco rękami, prostując jednocześnie nogi. Odnosi się ona oczywiście tylko do wspinaczy stosujących przyrządy automatycznie blokujące się na linie, a więc „jumary”, bądź ich modyfikacje Petzla, jak „poignee” czy „croll”. Używając „gibbsów” należy zwrócić uwagę na bardzo dokładne ich umocowanie do nóg. Sposób przymocowania zacisku górnego jest oczywisty. Przywiązany do uprząży asekuracyjnej, blokuje on łatwo

w chwili nawet lekkiego odchylenia się wspinacza w tył. Drugi (licząc od góry) zacisk, przytwierdzony jest do nogi taśmą opasującą kolano, obciążenie jednak spoczywa na stopie, bardzo istotne jest więc prawidłowe dobranie długości pętli. Trzeci zacisk, najniższy, przymocować należy ciasno do stopy drugiej nogi. Posiadaczy gibbsów — zarówno aktualnych jak i przyszłych — gorąco zachęcam do zaopatrzenia swoich przyrządów w stałe taśmy, których długość należy dobrać na drodze prób.

Rodzina przyrządów zaciskowych jest dziś już bardzo liczna, a ich stosowanie stało się powszechne zarówno w alpinizmie powierzchniowym, jak i — szczególnie — podziemnym. Dzisiejsi ich użytkownicy nie zastanawiają się nawet, jak bardzo zrewolucjonizowały technikę pokonywania studni czy pionowych ścian.

To już 75 lat...

Taternictwo polskie święci w tym roku piękny jubileusz: 75-lecie powstania pierwszej polskiej organizacji ściśle taternickiej — Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. Potrzebę powołania do życia takiego zrzeszenia odczuwano od dawna. Ankieta napisana w r. 1902 przez „Przegląd Zakopiański” wykazała, iż za warunek sine qua non ożywienia taternictwa uważa się powszechnie utworzenie w łonie TT osobnego klubu taternickiego. 13 sierpnia 1902 r. wybrano w Zakopanem komisję organizacyjną, która przygotowała statut, przyjęty przez Walne Zgromadzenie TT w dniu 27 kwietnia 1903 r., a przez Wysokie Namiestnictwo zatwierdzony reskryptem z 28 maja. W oparciu o ów statut, 25 lipca odbyło się I Ogólne Zebranie ST TT, na którym wybrano zarząd z prezesem w osobie Janusza Chmielowskiego na czele. „Od tego dnia ST TT rozpoczęła swój żywot, swe czynności” — pisał „Taternik” 4—6/1908. W r. 1908 Sekcja przekształciła się w zamknięty klub, a w latach 1932—35 weszła w skład nowego Klubu Wysokogórskiego, jako jego ideowy i osobowy trzon.

Sekcja wywarła wszechstronny wpływ na rozwój taternictwa polskiego. Do jej zasług należy wypracowanie ideologii taternictwa, powołanie do życia w r. 1907 „Taternika”, wydanie „Zasad taternictwa” Zygmunta Klemensiewicza (1913) i przewodnika „Tatry Wysokie” Chmielowskiego i Swierza (1925 — 26), wreszcie pchnięcie taternictwa polskiego na wielkie światowe szlaki. Jej utworzenie i pozytywny rozwój stały się też przełomem w życiu samego Towarzystwa Tatrzańskiego, które przeszło odtąd na decentralizację zarządzania. Pełną historię ST TT zawiera ju-



Janusz Chmielowski, jeden z głównych twórców ST TT i jej pierwszy prezes. W tym roku przypada 100-lecie jego urodzin i 10-lecie śmierci.

biluszowy zeszyt „Taternika” z r. 1928 (nr 4—6). Z ludzi, którzy ją stworzyli, nie żyje już chyba nikt.

Józef Nyka

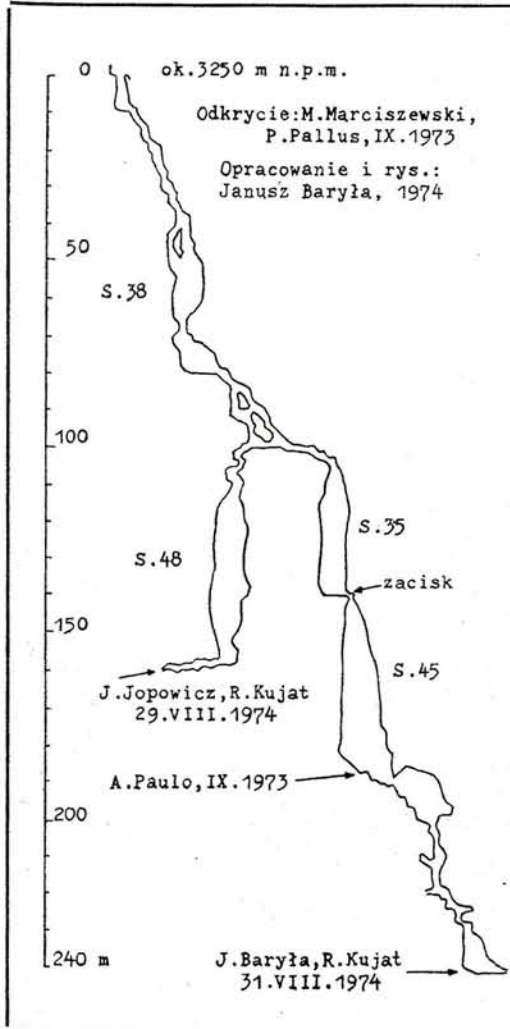
W jaskiniach Iranu i Libanu

Wyprawa została zorganizowana przez STJ KW i AKG w Krakowie i trwała od 10 sierpnia do 1 października 1974 r. Była kontynuacją poprzednich polskich poszukiwań jaskiniowych w tym rejonie (zob. T. 4/72 s. 184 i T. 1/74 s. 22—24 i 24—27). W trakcie jej trwania nie osiągnięto dużych głębokości i dlatego dotąd nie była wzmiankowana w „Taterniku”. Dopiero po ukazaniu się,

z okazji VII Kongresu UIS w Sheffield, zestawienia obejmującego wszystkie głębsze i dłuższe jaskinie świata („Spelunca” 1977, nr 2, suplement), okazało się, że wyniki eksploacyjne naszej wyprawy wcale nie są takie błahie i że zasługują na obszerniejszą wzmiankę.

Działalność w Iranie prowadziliśmy w górach Zagros, w masywie Kuh-i-Parau, na jego południowym plateau (22 sierpnia — 3 września), gdzie nie pozostawiliśmy żadnego otwartego problemu jaskiniowego. Dokonałiśmy pierwszych przejść całości następujących jaskiń:

Jaskinia Ptasia (Ptasia Dziura), Kuh-i Parau w górach Zagros w Iranie



Ghar-e Morghan (Jaskinia Ptasia, Ptasia Dziura) —240 m. Trzecia pod względem głębokości jaskinia Iranu a dwunasta w Azji (bez ZSRR). Najgłębsza z dotychczas odkrytych i wyeksploatowanych samodzielnie przez Polaków jaskiń Azji — zob. szkic.

Ghar-e Mariz (Jaskinia Chorych, Studnia Oczki) —132 m. Odkrycie: Tadeusz Oczko (1973); dno osiągnęli 26 sierpnia 1974 r. M. Kalmus, R. Kujat i A. Zieliński. Czwarta jaskinia Iranu.

Ghar Boland (Jaskinia Wysoka, Jaskinia Jopowicza) —120 m. Odkrycie: J. Jopowicz (1974); dno osiągnął 1 września 1974 r. A. Zieliński. Piąta jaskinia Iranu.

„*Jaskinia Kozika*” — 78 m. Odkrycie: Andrzej Kozik (1973); dno osiągnęli L. Dumnicki i S. Rzeźnik 28 sierpnia 1974.

Działalność w Libanie musieliśmy ograniczyć — panowała już w tym kraju napięta sytuacja i otrzymaliśmy tylko wizy tranzytowe. Zdołaliśmy tam przejść, a głównie przepłynąć na pontonach ok. 1800 m poziomego ciągu w jednej z najładniejszych jaskiń świata — *Jeita* w pobliżu Bejrutu.

W trakcie trwania wyprawy dokonano również wejść na *Süphan Daghy* (4434 m; drugi szczyt Turcji, prawdopodobnie drugie wejście polskie; 18 sierpnia, 7 osób) i *Demawend* — 8 i 9 września, 7 osób. W dniach 2 i 3 września 1974 T. Dyga i M. Kalmus weszli nową drogą na prawdopodobnie dziewiczy wierzchołek w masywie Kuh-i-Parau.

W skład wyprawy wchodził: Janusz Baryła (kierownik), Leszek Dumnicki, Tadeusz R. Dyga, Jerzy Grotowski, Jacek Jopowicz, Marek Kalmus, Ryszard Kujat, Stanisław Rzeźnik (zastępca kierownika), Andrzej Skwirczyński, Zdzisław Tynor (kierowca) i Andrzej Zieliński. W jaskiniach Iranu i Libanu działali z nami miejscowi alpiniści jaskiniowi. Dysponowaliśmy samochodem „STAR 22 A 28, wypożyczonym przez przedsiębiorstwo „MONTIN” z Krakowa.

Zainteresowani mogą więcej wiadomości o wyprawie znaleźć w biuletynie STJ KW — Kraków „Gacek”, XII 1977 s. 27—38.

Krajowy rok jaskiniowy 1977

Często można się spotkać z niesłusznym twierdzeniem, że jaskinie tatrzańskie poznano już całkowicie. A przecież wystarczy czasem odrobina inicjatywy, przejście przez jaskinię mniej utartą drogą, czy pomysłowość w jakimś ukrytym zakątku korytarza, by znaleźć jeszcze coś ciekawego i dokonać fragmentarycznego choćby „odkrycia”. Dowodem mogą być tegoroczne wyniki poszukiwań w Tatrach. Oczywiście nie są to szczególnie wielkie osiągnięcia, przynoszące setki metrów nowych korytarzy, chociaż i to może się zdarzyć. Do takich większych odkryć poza łutem szczęścia konieczna jest znajomość jaskini i geologii oraz — a może przede wszystkim — systematyczność w działaniu, która wcześniej czy później zawsze dobrze procentuje.

INWENTARYZACJA I ODKRYCIA

Pierwsze poważniejsze wyniki przyniósł kolejny biwak inwentaryzacyjny w Jaskini Miętusiej, zorganizowany w dniach 6 — 13 lutego — ponownie przez Koło Badań Krasu Oddziału Warszawskiego PTPNoZ. Wzięło w nim udział 8 osób pod kierownictwem Jerzego Grodzickiego. W różnych częściach jaskini odkryto kilkadziesiąt metrów korytarzy. Szerze omówienie zawiera nr 32 „Wierciocy” z maja 1977 r.

W okresie wiosennym i wczesnoletnim (jeśli pominąć Bańdzioch) jedyną ciekawszą akcją była wspinaczka do Jaskini nad Dachem, jednej z najtrudniej dostępnych w Tatrach (V+ A3, 3 godziny). Wejścia dokonał zespół z KKTJ Kraków — Andrzej Ciszewski, Stanisław Baraniewicz, Krzysztof Kleszyński i Wiesław Wilk 11 i 12 czerwca 1977 r., przeprowadzając prace kartograficzne i ustalając, że jaskinia liczy 200 m długości i 50 m deniwelacji.

Zgodnie z tradycją ostatnich 3 lat, od 1 lipca do 15 września prowadzona była inwentaryzacja jaskiń tatrzańskich — przez zespół Koła Badań Krasu OW TPPNoZ, kierowany przez Jerzego Grodzickiego. Wykonano dokumentację dla 105 obiektów — przeważnie małych jaskiń lub schronisk — w tym dla ok. 20 nie wymienianych dotąd w literaturze. Najciekawszym z nich jest Jaskinia z Mostami, mająca długość 70 m i deniwelację 19 m (T. 4/77 s. 183). Prace kartograficzne przeprowadzono nadto w trzech większych jaskiniach: Przeziorowej, Nad Kotlinami i Wielkiej Litworowej. W Jaskini Przeziorowej długość zmierzonych korytarzy wynosi obecnie 420 m. W Jaskini Wielkiej Litworowej odkryto ponad 100 m korytarzy, ustalając jej

głębokość na 236 m przy 1200 m pomierzonych korytarzy. Pracami kierował tu Rafał Kardaś, a omówienie wyników zawiera „Wierciocy” nr 34 (z listopada 1977 r.). Na konferencji w Złotym Potoku poinformował Jerzy Grodzicki, że do grudnia 1977 r. pełną dokumentację uzyskało 220 obiektów, częściową 39, zaś dla 133 pozycji brakowało jeszcze danych.

Jesień rozpoczęła się od rozwiązywania zagadki okna studni wlotowej Ptasięj Studni (T. 4/77). W dniach 20 i 21 października działali w tej samej jaskini grotolazi ze Speleoklubu Katowice. Zbigniew Rysiecki (kierownik) po pokonaniu techniką hakową 20-metrowego komina odkrył wraz z Henrykiem Feryem około 100 m szczelinowych korytarzy, powiększając tym samym długość systemu Ptasia Studnia — Lodowa Litworowa do ok. 1400 m. Współpracujący z nimi Stanisław Juziuk i Marian Napierała wykonali pomiary partii odkrytych w ostatnim roku (T. 2/77).

W r. 1977 lista jaskiń tatrzańskich wzbogaciła się o jeszcze jedną nową pozycję. Jest nią jaskinia ze śniegiem, odkryta 23 października przez Zbigniewa Rysieckiego z grupą ze Speleoklubu Katowice na wysokości ok. 1680 m w ścianach opadających z Kotlin do Wyzniej Świstówki. Ma ona długość 26 m, a głębokość 16 m. W tym samym rejonie znajduje się drugi interesujący obiekt: jaskinia nazwana Uplązkową, położona na wysokości ok. 1730 m w okolicy Baranich Schodów, licząca 61 m długości i 16 m głębokości. Natknęli się na nią Zbigniew Rysiecki, Marian Napierała i Stanisław Juziuk 16 października, ktoś już w niej jednak był przed nimi, bo w największej sali (12 x 8 m i 6 m wysokości) znajdował się sztucznie usypany kopczyk z kamieni.

BANDZIOCH KOMINIARSKI

Na pierwszy plan w całej działalności 1977 roku wysuwają się prace eksploracyjne w Bańdziochu Kominiarskim. Można nawet powiedzieć, że rok 1977 przebiegał pod znakiem odkryć dokonywanych w tej jaskini (por. T. 3/77 s. 128).

W omawianym roku w ramach tematów OK PTPNoZ rozpoczęte zostały prace nad monografią speleologiczną masywu Kominiarskiego Wierchu. Włączyli się do nich członkowie wszystkich klubów krakowskich pod kierownictwem Władysława Borowca, przewidziane jest m.in. opracowanie dokumentacji kartograficznej jaskiń, ich opisów i historii badań, geologii i hydrogeologii masywu itd.

Przygotowania rozpoczęto od pomiarzenia ciągu schodzącego do „nowego” dna Bańdziocha, celem ustalenia rzeczywistej głębokości całej jaskini. Zadanie to zostało wykonane podczas 200-godzinnego biwaku, założonego w „bazylice”, który trwał od 26 marca do 3 kwietnia 1977 r. Andrzej Ciszewski, Krzysztof Kleszyński i Jan Orłowski z KKTJ Kraków przeprowadzili wówczas najcięższe pomiary w jaskini. W ciągu 9 godzin sprawny ten zespół zmierzył 200-metrowy meander nazywany „szalonym”, tak kręty, że średnia długości odcinka pomiarowego wynosiła w nim 1,5 do 2 m. Głębokość jaskini określono na 505 m, odkryto też przy tym kilkadziesiąt metrów nowych korytarzy.

Kolejną ciekawszą akcją było pogłębienie w dniach 4 i 5 czerwca „V dna” Bańdziocha przez zespół Andrzej Ciszewski, Czesław Dąbrowski (z KKTJ Kraków) i Ryszard Kujat (STJ KW Kraków). W wyniku szczegółowej penetracji znaleźli oni dalsze przejście i przeszli systemem prozków około 40 m niżej. Akcję przerwano na skraju 50-metrowej studni, która została pokonana dopiero w dniach 17–18 września 1977 przez Andrzeja Górnego i Ryszarda Kujata. Osiągnięty tu syfon wodny znajduje się na głębokości około 300 m poniżej „górnego” otworu.

W dniu 29 września zespół kierowany przez Władysława Borowca przeprowadził także pomiary na powierzchni przy pomocy teodolitu Theo—1014 i dalmierza Eldi—2. Określono wówczas różnicę wysokości pomiędzy otworami na 226,4 m i wysokość górnego otworu na 1682,7 a „starego” na 1456,3 m.

Kolejnym bardzo ważnym etapem w poznawaniu jaskini był drugi biwak inwentaryzacyjny, założony również w „bazylice”. Trwał on 163 godziny, od 2 do 9 listopada. W skład jego weszli: Andrzej Ciszewski (kierownik), Andrzej Górny, Grzegorz Haczewski, Krzysztof Kleszyński, Jan Orłowski i Wojciech Wiśniewski. 4 listopada Wiśniewski wraz z Kleszyńskim i Górnym dokonali w partiach „odpęknionych polew” odkrycia 160-metrowej „galerii” w gniazdem”, stromo wznoszącej się ku górze. Znalezione tu strzępki zielonych liści oraz gniazdo ułożone z trawy. Jednak główne odkrycie zostało dokonane dopiero 7 listopada, kiedy to Ciszewski, Górny, Kleszyński, Orłowski i Wiśniewski znaleźli obszerne pięknie myte korytarze w ciągach „naciekowych” i galerię „heliktytową”, prowadzącą do „syfonu KKTJ” (550 m poniżej górnego otworu). Łącznie w czasie biwaku odkryto 550 m korytarzy. Całość nowych partii posiada bardzo bogatą różnokolorową szatę naciekową, m.in. rzadko spotykane w jaskiniach polskich heliktyty. Podczas tego biwaku Andrzej Górny jako pierwszy w Polsce grotolaz osiągnął wszystkie pięć den tej jaskini, na cztery z nich docierając w trakcie eksploracji.

SPORT, SZKOLENIE, SPOTKANIA

Rok 1977 był mniej owocny pod względem liczby i jakości przejść sportowych. Zaled-

wie trzy akcje w jaskiniach tatrzańskich uznać można za wartościowe: 1) omówione w T. 4/77 s. 184 przejście Bańdziocha od górnego otworu do „dna poznańskiego”, 2) przejście Wielkiej Jaskini Śnieżnej (opis niżej) oraz 3) przejście Ptasiej Studni w czasie 3 godzin i 50 minut (opis niżej).

Na początku roku, od 2 do 14 lutego, przebywała w Polsce grupa grotolazów z Salzburga z Walterem Klappacherem na czele. Podczas pobytu w Tatrach dokonali oni m.in. przejścia głównego ciągu Jaskini Miętusiej.

Ważnym punktem działalności szkoleniowej był drugi od momentu powołania PZA kurs instruktorów taternictwa jaskiniowego I stopnia. Odbył się on w dniach 24 — 30 kwietnia 1977 r., a ukończyło go 11 osób. Zajęcia na kursie prowadzili instruktorzy Janusz Baryła (kierownik), Andrzej Ciszewski, Jacek Jopowicz oraz Wiesław Wilk.

Bezsprzecznie najważniejszym wydarzeniem sezonu był Ogólnopolski Obóz Speleologiczny KTJ PZA, którego zadaniem było oczyszczenie ze śmieci Wielkiej Jaskini Śnieżnej oraz wykonanie w niej badań geomorfologicznych i hydrochemicznych pod kierunkiem doc. Mariana Puliny (zob. T. 1/78 s. 44). Była to pierwsza zorganizowana na tak dużą skalę akcja oczyszczania jaskini w Polsce. Podczas prac porządkowych dokonano m.in. czterech przejść „wielkiego trawersu” (od otworu Jaskini nad Kotlinami do syfonu i z powrotem przez otwór Śnieżnej) oraz dwu zejść na dno Jaskini Śnieżnej. Według oceny Stanisława Misztala, w akcji porządkowej wyróżnili się Kazimierz Szych (zastępca kierownika obozu) i Krzysztof Hancbach, obydwaj z SG AKA Częstochowa, którzy brali udział w pracach bez względu na pogodę. Niestety nie brakowało i negatywnych postaw. Jak stwierdził Stanisław Misztal, niektórzy uczestnicy uchylili się od udziału w oczyszczaniu jaskini — dokonując wyłącznie jej przejść, bez wykonania części pracy na nich przypadającej.

Po zakończeniu obozu grupka grotolazów kontynuowała prace porządkowe w systemie Jaskini Śnieżnej, przy czym zespół z KKTJ Kraków Krzysztof Kleszyński, Ryszard Knapczyk i Jan Orłowski wraz z Kazimierzem Szychem z SG AKA Częstochowa dokonali jedyne w omawianym sezonie przejścia Wielkiej Jaskini Śnieżnej (18 do 20 września w czasie 44 godzin). W trakcie powrotu zdjęli oni liny, którymi była oporęczowana Jaskinia nad Kotlinami.

W drugiej połowie sierpnia SG AKT Wrocław zorganizowała pod hasłem ochrony jaskiń III Międzynarodowy Obóz Speleologiczny, kierowany przez Piotra Głowackiego. Wzięły w nim udział 22 osoby, w tym 10 gości zagranicznych z Belgii, Szwajcarii, Anglii, Czechosłowacji i Węgier.

Pora jesienna została wykorzystana na zebrań i sympozja. Ten sezon „konferencyjny” rozpoczął się od odbytego w dniach 22 do 23 października XI Sympozjum Speleolo-

gicznego w Ojcowie. Jeden z referatów dotyczący VII Kongresu UIS, który odbył się we wrześniu w Sheffield (T. 4/77 s. 188). Tydzień później odbyła się konferencja w Złotym Potoku, zorganizowana przez Koło Badań Kraju OW PTPNoZ (T. 1/78 s. 36). Kolejną imprezę stanowiło I Ogólnopolskie Spotkanie Klubów Speleologicznych w Zaganiu w dniach 2 — 4 grudnia, ostatnią zaś — II Krakowskie Speleokonfrontacje w Jaworznie w dniach 10 do 11 grudnia, na których omawiano wyprawy zagraniczne roku 1977.

Okres świąt Bożego Narodzenia był, jak co roku, okresem najintensywniejszej działalności w jaskiniach tatrzańskich. Mimo nie najgorszych warunków śnieżnych dokonywano przede wszystkim przejść jaskiń Zimnej (kilka razy), Czarnej (do końca dwa razy), Kasprowej Niżniej (kilka razy). Uczestnicy zimowego obozu unifikacyjnego (kierownik Leszek Dumnicki) dokonali jedyne w tym okresie przejścia Jaskini Wielkiej Litworowej — w czasie 16 godzin.

W samym końcu minionego roku miały miejsce trzy przejścia Ptasięj Studni. Pierwsze z nich, w trakcie którego poręczowano jaskinię, trwało około 12 godzin. Drugie, pomimo istnienia oporęczowania, około 16 godzin. Akcja trzeciego zespołu, w którego skład wchodził członek KKTJ Kraków — Stanisław Baraniewicz, Krzysztof Kleszyński, Ryszard Knapczyk i Jan Orłowski, odbyła się w ostatni dzień roku i była jego znaczącym zakończeniem: przejścia dokonano w rewelacyjnym czasie 3 godzin i 50 minut. Syfon końcowy (—295m) został osiągnięty w 45 minut od wejścia do jaskini. W czasie powrotu zespół zjął i wydobyl cały sprzęt, którym jaskinia była oporęczowana. Wartość tego wyczynu umniejsza fakt, że drogę pokonywano po założonych uprzednio linach. Autorzy sukcesu oceniają jednak, że jest możliwe dokonanie czysto sportowego przejścia jaskini w czasie około 4 godzin.

Porównanie minionego roku jaskiniowego z rokiem 1976 (patrz T. 1/77 s. 82—83) wypada na jego niekorzyść. Zmniejszyła się liczba przejść jaskiń dotąd tak popularnych, jak Wielka Litworowa, Litworowy Dzwon, Ptasia Studnia, a nawet Czarna. Należy przy tym dodać, że w dwóch pierwszych z wyżej wymienionych jaskiń nie każdy zespół docierał do samego dna. Np. w Jaskini Wielkiej Litworowej dokonywano zejść do tzw. „starego” dna (—204 m), zamiast do dna „studni Bociana” (—236 m). Natomiast w Litworowym Dzwonie ograniczano się do osiągnięcia dna 40-metrowej studni (—100 m), nie schodząc już do niżej leżących partii (—144 m). Smutną i godną napiętnowania praktyką jest przy tym wpisywanie w wykazach przejść danych głębokościowych całego systemu, a nie punktu do którego się faktycznie dotarło. Zmalała również ogólna liczba akcji w jaskiniach tatrzańskich. Według wpisów zawartych w książce akcji jaskiniowych GOPR, prawie po-

łowa przedsięwzięcie była organizowana przez KKTJ Kraków, nic więc dziwnego, że ten klub przewija się najczęściej na łamach powyższego podsumowania. Intensywność tej działalności jeszcze bardziej uwypukla fakt, że w końcu 1977 r. KKTJ PZA podlegało 20 klubów i sekcji, zrzeszających ok. 1100 grotolazów (T. 1/78 s. 41).

Większość odbywających się akcji polegała wyłącznie na przejściu znaną drogą całej jaskini do punktu uznanego za jej koniec, a następnie szybko wracano na powierzchnię, co nie oznacza że w krótkim czasie. Niektórzy preferowali chodzenie utartymi ścieżkami, zamknięcie się w ciasnych ramach przejść kilku najbardziej popularnych jaskiń polskich.

Po raz pierwszy od kilku lat sezon był tak ubogi w zejścia na dużą głębokość. W kraju tylko 4 osoby przekroczyły głębokość 750 m, a zejść poniżej 500 m było około 40. Za granicą poziom —500 m został przekroczony przez Polaków zaledwie 37 razy. Najwięcej głębokich zejść miał Wojciech W. Wiśniewski, który jako jedyny polski grotolaz przekroczył tę głębokość 3 razy. Tylko 5 polskich grotolazów przekroczyło poziom —800 m (Janusz Śmiałek, Krzysztof Bęberek, Ireneusz Felisiak, Ryszard Kujat i Wojciech W. Wiśniewski), a największą głębokością, jaką użyskali Polacy, było 860 m.

Na zakończenie nie można nie dodać, że miniony rok był wyjątkowo szczęśliwy, jeśli chodzi o wypadki. Grupa Tatrzańska GOPR brała udział tylko w jednej poważniejszej akcji jaskiniowej — transporcie warszawskiego grotolaza, który złamał nogę w Jaskini Czarnej (T. 3/77 s. 138).

Wszelkie dalsze uzupełnienia i sprostowania prosimy nadsyłać na adres: Wojciech W. Wiśniewski, ul. Bronistawy 18/1, 30-203 Kraków.

ROK 1976 — UZUPEŁNIENIA

Uzupełnienie omówienia roku 1976 (T. 2/77 s. 82) należałoby zacząć od długiego biwaku w Jaskini Czarnej. Trwał on od 18 grudnia 1975 do 9 stycznia 1976 czyli 20 dni i 6 godzin, a udział w nim wzięli K. Mazik (kierownik), R. Cichy, H. Krzemiński, M. Wojciechowski i E. Żuk z Sekcji Grotolazów AKW — „Kajman”. Przez cały czas biwaku założonego w „sali pod łukami” realizowany był medyczny program badawczy.

Od 14 lipca do 1 sierpnia działała w Belgii 9-osobowa grupa z SG AKT Wrocław, kierowana przez Ryszarda Palucha, która dokonała przejść 7 jaskiń, a wśród nich najgłębszej jaskini tego kraju.

Latem 1976 r. na terenie Turcji działały 2 polskie wyprawy. Pierwsza z nich — ze Speleoklubu Katowice — dokonała przejść 2 jaskiń stukilkudziesięciometrowej głęboko-

ści oraz odkryła 1 niewielką jaskinię. Bardziej owocny był wyjazd Speleoklubu „Boby” z Żagania, kierowany przez Bronisława Nowaka. Poza dokonaniem pierwszego polskiego przejścia najgłębszej jaskini Turcji, Dude-neck (—331 m), uczestnicy odkryli kilka nieznanych jaskiń, z których na uwagę zasługują jaskinie Olimpijska (—113 m) i Węgierska (—70 m).

W dniu 6 listopada zostało dokonane w czasie 13 godzin pierwsze trawersowanie Bańdziocha Kominiarskiego, pomiędzy otworami „starym” i „górnym” (kierownik Andrzej Kokoszka).

ANDRZEJ CISZEWSKI

Lamprechtsofen — rekord pobity

Ubiegłoroczna wyprawa do jaskini Lamprechtsofen, zatrzymując się u stóp kolejnych kominów, postawiła pytanie „co dalej?” Ponieważ problem był bardzo atrakcyjny, należało się liczyć z tym, że zostanie on niebawem zaatakowany — bądź to przez Austriaków, bądź też przez aktywnych ostatnio w Austrii Francuzów. Została więc ponownie zorganizowana wyprawa, tym razem przez KKTJ i AKG Kraków. Trwała ona od 5—25 stycznia 1978 r. a udział w niej wzięli

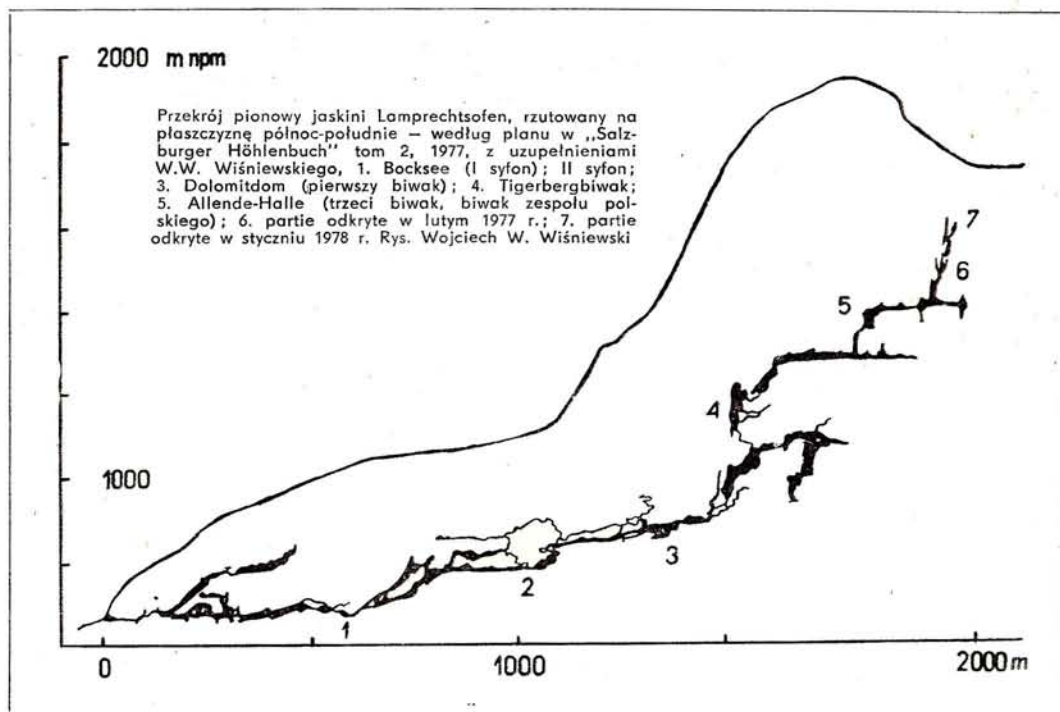
Poza granicami kraju polscy grotolazi granicę 500 m głębokości przekroczyli 30 razy, 800 m 22 razy, 900 m 19 razy, 1000 m 11 razy, natomiast w czasie zejść do dna odpowiednio 19, 19, 19 i 11 razy. W kraju natomiast granicę 750 m przekroczone 9 razy, zaś zejścia poniżej 500 m dokonywane były wielokrotnie.

Ważnym wydarzeniem było w r. 1976 zorganizowanie przez Komisję Szkolenia PZA pierwszego od czasu założenia naszego Związku kursu instruktorów taternictwa jaskiniowego I stopnia, którym kierował Janusz Śmiałek. Ukończyło go 9 osób.

Andrzej Ciszewski (kierownik), Andrzej Kozik, Kazimierz Szych, Janusz Śmiałek, Wiesław Wilk i Wojciech W. Wiśniewski.

W LAMPRECHTSOFEN

Po przyjeździe do Salzburga, pierwsze kroki skierowaliśmy na Heimstrasse, gdzie spotkaliśmy się z naszymi austriackimi przyjaciółmi. Powiadomili nas, że w jaskini przebywa właśnie 4-osobowy zespół pod kierow-



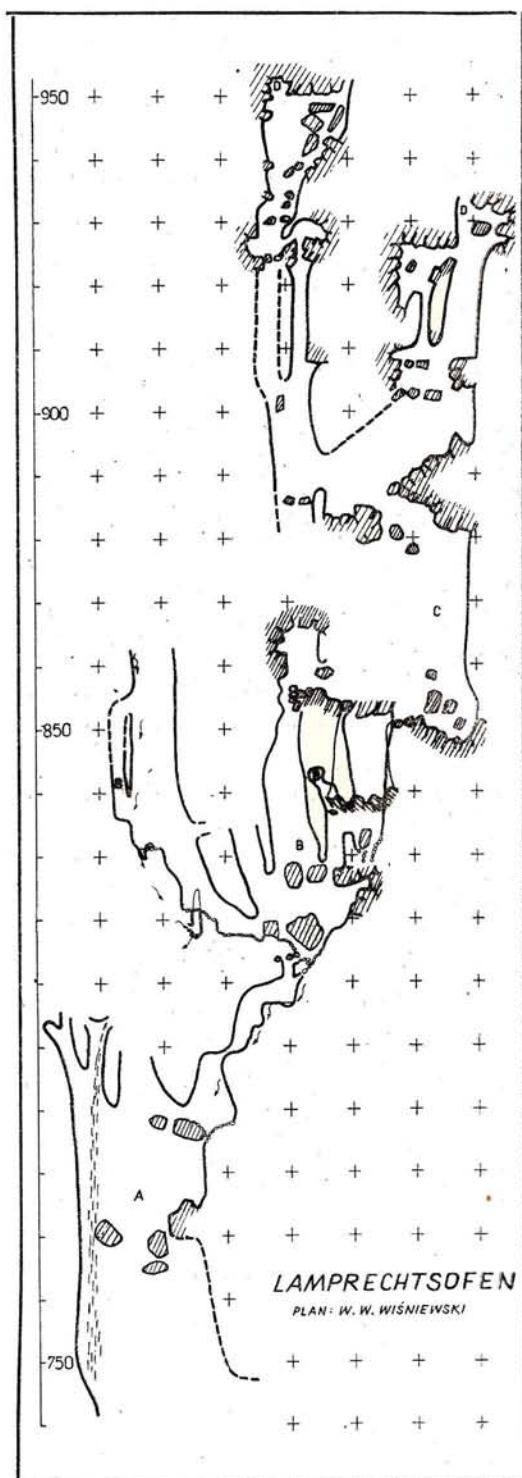
Przekrój pionowy najwyższych partii jaskini Lamprechtsofen — rzutowany na płaszczyznę północ-południe. Poziom +740 m osiągnięto w 1973 r. Litera A oznacza poziom, do którego 8 stycznia 1977 r. dotarli W. Klappacher, B — punkty osiągnięte 26 lutego 1977 podczas wyprawy AKG Kraków, C — punkt osiągnięty 7 stycznia 1978 przez W. Klappachera i H. Knapczyka, wreszcie D — punkty osiągnięte podczas tegorocznej wyprawy AKG i KKTJ — prawy 11 stycznia, a lewy 13 stycznia 1978 r. (A. Ciszewski, W. Wilk i W. W. Wiśniewski, +952 m). Przekrój wykonał Wojciech W. Wiśniewski na podstawie pomiarów wykonanych przy pomocy R. Kujata, A. Ciszewskiego i W. Wilka.

nictwem Waltera Klappachera, który zamierza zaatakować jeden z trzech odkrytych przez Polaków kominów. Pogoda była doskonała, panował ostry mróz, można więc było liczyć na niski poziom wody w jaskini. Następnego dnia rano pojechalśmy autobusem do chatki przy otworze. Równocześnie z nami mieli działać Helfried Essman i Mike Meredith, którzy wyszli 7 stycznia, by naprawić starą linię telefoniczną i rozpocząć układanie nowej.

Tego samego dnia weszliśmy do jaskini w dwóch trójkach: Ciszewski, Wilk i Wiśniewski tworzyli zespół I, a Śmiałek, Kozik i Szych zespół II. Nieśliśmy na biwak w Dolomittom (+192) rezerwową żywność i paliwo konieczne jako zabezpieczenie na wypadek odcięcia przez syfony, transportowaliśmy również część żywności i sprzętu na biwak. 8 stycznia opuściła jaskinię grupa Klappachera, która po pokonaniu jednego z kominów osiągnęła wysokość +867 m.

W dniu 9 stycznia — z 10-godzinnym odstępem — weszli do jaskini zespoły I i II, zabierając resztę żywności i sprzętu na biwak w Allende-Halle (+665 m), stanowiącej jedyne dogodne miejsce na biwak w wyższych partiach Lamprechtsofen. Po dotarciu tu zespół I spał, czekając na dojście zespołu II, po czym wyruszył z biwaku do góry. Po osiągnięciu najwyższego znanego punktu (na planie lit. B), kontynuowaliśmy wspinaczkę, osiągając półkę pod stropem komina, a stamtąd — systemem trawersów — idącą stromo w górę półkę z zaklinowanych kamieni, która doprowadzała pod następny komin. Po jego przejściu osiągnęliśmy kolistą salkę, stanowiącą dno kolejnego komina, tym razem o ścianach pokrytych błotem. Na szczęście udało się go obejść ciasnym korytarzykiem. Stanęliśmy pod stropem komina (+934 m), utworzonym przez potężne zawałisko, z którego wypływała woda, wpadając do równoległej ślepej studni. Ze względu na bezpieczeństwo był to kres eksploracji w tym kierunku. Po zaporęczowaniu i skartowaniu nowych ciągów, zespół wycofał się na biwak.

Po jego powrocie wyruszył zespół II, który po dotarciu do nowo odkrytych ciągów przetrawersował ciasną szczelinę na poziomej



+890 m i wszedł do szczelinowatego komina. Po jego pokonaniu stwierdzono, że w stropie znajduje się również zawałisko (+921 m) z sil-

nym przewiewem powietrza. Między blokami widoczny był ciasny przełaz, dający pewne nadzieje na przejście. Po powrocie zespołu II na miejsce biwaku, eksplorację przejął zespół I, który pokonał zawalisko, wchodząc do szczeliny z zaklinowanymi blokami. Po krótkich poszukiwaniach zdołano znaleźć dalsze przejście, które prowadziło do niewielkiej salki, a stamtąd przez kolejne zawalisko — pod strop szczeliny, gdzie udało się osiągnąć wysokość 952 m. Po skartowaniu nowych ciągów i wyniesieniu rezerwy żywności z Dolomitom zakończyliśmy działalność w Lamprechtsofen.

Mimo zakończenia eksploracji w obydwu ciągach kominów, należy stwierdzić, że istnieją w dalszym ciągu szanse na „podwyższenie” jaskini. Na poziomie +830 m pozostał jeszcze jeden komin, odkryty podczas poprzedniej wyprawy, niestety b. niebezpieczny ze względu na kaskadę, która spada ze stropu. Istnieje również szereg problemów na poziomie +740 m, skąd ciągnie się potężna szczelina, na której rozwinięte są wszystkie eksplorowane jak i nie eksplorowane kominy. Jeden z nich wydaje się być bardzo obiecujący ze względu na silny przewiew powietrza i prowadzi być może do tak poszukiwanego górnego otworu jaskini, który znajdowałby się wówczas prawdopodobnie na zboczach Lanerhornu (2019 m). W chwili obecnej należałoby raczej szukać kontynuacji poziomej, która mogłaby doprowadzić do którejś z jaskiń Nebelsbergkaru, co dałoby deniwelację znacznie przekraczającą 1000 m.

Osobny problem działalności w Lamprechtsofen stanowi asekuracja. Skała jest tu bardzo słabo urzeźbiona, brak głębokich wymięć i chropowatości typowej dla wapienia. Mimo szczelinowego charakteru górnych partii, ze względu na szerokość kominów trzeba się wspinać otwartą ścianą. Asekurację dodatkowo utrudnia niemal zupełny brak szczelin — na 200 m pokonanych kominów udało nam się wbić tylko 4 haki! Dlatego też do asekuracji były używane prawie wyłącznie spity. Ze względu jednak na znaczne trudności (IV—V) oraz typ urzeźbienia skały ich użycie jest trudne i niezbyt wygodne. Powoduje to, że wspinaczka staje się niebezpieczna i wymaga dużej odporności psychicznej.

W SALZBUGERSCHACHT

W wyniku sukcesu w Lamprechtsofen zostaliśmy zaproszeni do jaskini Salzbugerschacht. Jej otwór znajduje się w masywie Untersberg niedaleko Salzburga, na wysokości 1790 m. Jaskinia badana jest od 1935 r. lecz dopiero ubiegły rok przyniósł w niej znaczące odkrycia. Eksploracja prowadzona przez Austriaków i Belgów dała głębokość ok. 597 m. Do poziomu —450 m prowadzi system studni z ciągiem wodnym, który wpada do ciągu poziomego, stanowiącego znacznych

rozmiarów galerie. Dnem tych galerii płynie potok, który po kilkuset metrach wpada do systemu studni. Naszym celem była eksploracja okolic aktualnego dna oraz próba przejścia w górę potoku na poziomie —450 m. W dniu 18 stycznia weszli do jaskini Klapbacher i Wiśniewski (zespół I) oraz Ciszewski, Szych i Wilk (zespół II). Poręczając studnie, dotarliśmy do potoku na poziomie —450 m. Zespół I rozpoczął eksplorację ciągu wodnego. Po przejściu dwóch jezior i pokonaniu partii typu „gąbka”, wszedł w szerokie galerie, po czym z braku czasu wycofał się na biwak. Jak się potem okazało, odkryto przy tym 1200 m korytarzy. Następnego dnia zespół ten dalej eksplorował odkryte ciągi, znajdując 300 m korytarzy i stając na skraju 30-metrowej studni, skąd wycofał się ze względu na brak sprzętu. W drodze powrotnej wykonano wstępne pomiary odkrytych partii.

Zespół II eksplorował w tym czasie dwa ciągi rozgałęziające się na poziomie —560 m. Osiągając w jednym z nich syfon na poziomie —590 m, a w drugim odkrywając poziomy ciąg syfonalny, długości 100 m, sprowadzający na głębokość 606 m. Penetrowaliśmy również inne ciągi w okolicach dna.

Podczas następnej akcji zespół I dotarł również do poprzednio odkrytego syfonu, znajdując dalsze 100 m nowych korytarzy oraz wykonując pomiary. W okolicy syfonu odkryto dwa gniazda niespotykanej wielkości heliktytów — do pół metra długości. Zespół II pokonał w tym czasie 30-metrową studnię, a następnie po przejściu zawaliska na jej dnie, odkrył ok. 1200 m korytarzy, w dwóch eksplorowanych ciągach nie osiagając końca. Następnego dnia — 21 stycznia — w komplecie wyszliśmy na powierzchnię.

★

Podsumowując wyniki wyprawy, należy uznać ją za niezwykle udaną. W Lamprechtsofen pokonaliśmy 200 m kominów, osiagając 962 m deniwelacji (+952, —10), co stawia ją na pierwszym miejscu wśród najgłębszych jaskiń Austrii i na 6 miejscu wśród najgłębszych na świecie. Dzierży oczywiście dalej miano „najwyższej” na świecie. Eksploracja Salzbugerschacht przyniosła 3000 m nowych korytarzy oraz pozostawienie otwartych problemów do dalszej eksploracji. Była to pierwsza polska wyprawa, która odniosła tak znaczne sukcesy eksploracyjne, działając przy tym w zaledwie 6-osobowym zespole. Dobry skład ekipy pozwolił jednak na prowadzenie tzw. eksploracji sportowej, która staje się powoli na świecie metodą obowiązującą. Umożliwia ona zmniejszenie ilości sprzętu oraz znaczną intensyfikację działania, wymaga jednak nowoczesnego wyposażenia oraz odpowiedniego przygotowania technicznego i kondycyjnego. Podobnie jak w alpinizmie powierzchniowym, również w podziemnym kończy się era wielkich i ciężkich wypraw.

Co nowego w Tatrach?

POTRZEBA NUMER JEDEN

Taternicy od dawna uskarżają się na brak dachu nad głową w rejonie Morskiego Oka. Parę razy pisał o tym „Taternik” ostatnio zwrócił się w tej sprawie do Redakcji Marek Łukaszewski, który stwierdza, że jest to w Tatrach „nasz wspólny problem nr 1”. „Środowisko — pisze on — najintensywniej korzystające z tego zakątka naszych gór powinno tu mieć swoją bazę z prawdziwego zdarzenia. Obozowisko na Szałasiskach ratuje nas od biedy latem, choć w pełni sezonu i ono przeważnie pęka w szwach. Natomiast w miesiącach zimowych sytuacja jest wręcz dramatyczna. A przecież w Alpy i inne obce góry wyjeżdża tylko mała część naszej braci, cała reszta wspina się w Tatrach, z nimi też wiąże swe plany i nadzieje.”

Możemy pocieszyć naszych Czytelników, że od paru miesięcy zarysowują się szanse zmiany na lepsze. Jak nas poinformował dyrektor naczelny Zrzeszenia Gospodarki Turystycznej PTTK, mgr Wojciech Militz, Okręgowy Zespół Gospodarki Turystycznej PTTK w Krakowie opracował już szczegółowy program i dokumentację projektową adaptacji i remontu tzw. starego schroniska („Franciszkówki”). Prace remontowe mają być przeprowadzone jeszcze w tym roku, a ZGT wyraziło gotowość przekazania odnowionego obiektu Polskiemu Związkowi Alpinizmu — na zasadzie wynajmu. PZA zgłosił swoje postulaty co do przeróbek wnętrza, wymagającego dostosowania do nowej funkcji.

ZAKOPIANIE W JAWOROWEJ

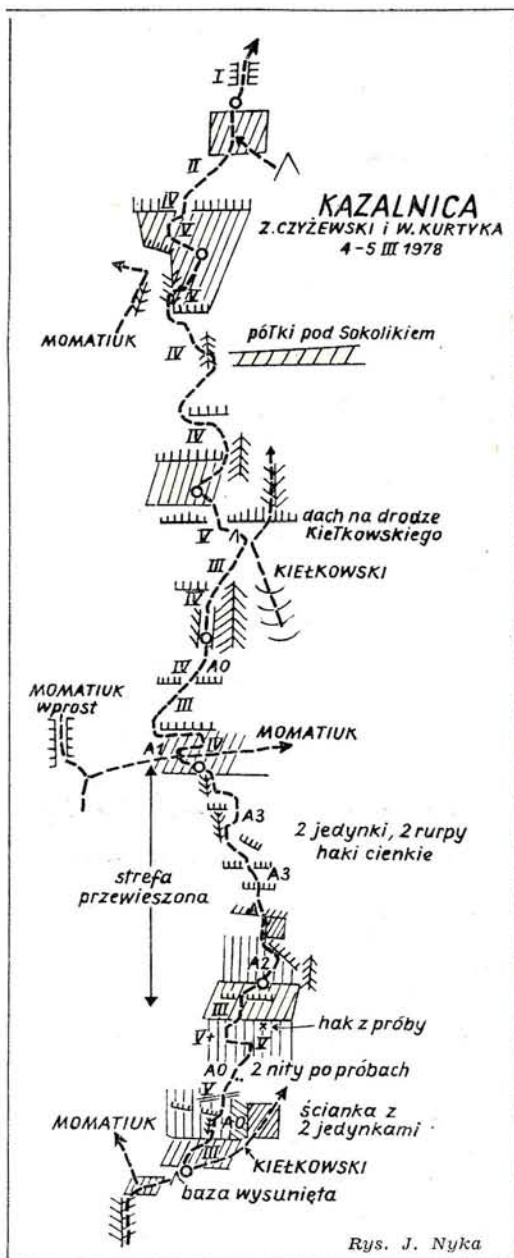
W dniach od 13 do 22 marca 1978 r. odbył się w Dolinie Jaworowej zimowy obóz zakopiański. Uczestniczyło w nim 9 osób, lecz tylko 2 przez cały czas jego trwania. Kierownictwo sprawował Andrzej Osika. Było dotąd niemal tradycją, że w okresie naszych zimowych zgrupowań pogoda nie dopisywała. Tym razem okazała się dla nas łaskawsza przynajmniej o tyle, że można było wychodzić na wspinaczki, co prawda torując w głębokim śniegu, który później zamienił się w pękający i obsuwający się w postaci desek gips. W trakcie obozu zrobiliśmy kilka wartościowych przejść w rejonie Jaworowych Turni i Doliny Suchej Jaworowej — ich wykaz ukaże się przy omówieniu sezonu zimowego 1977—78.

Lupem zgrupowania padł również jeden z ostatnich dziewięcioletnich punktów w Tatrach. Chodzi o Zieloną Kazałnicę (nazwa uzgodniona z Witoldem H. Paryskim), na którą weszli 16 marca Władysław Cywiński i Andrzej Osika.

Andrzej Osika

KAZALNICA

Po kilku nieudanych próbach Zbigniewa Czyżewskiego i moich, udało nam się wreszcie w dniach 4 i 5 marca 1978 r. rozwiązać kolejny problem na ścianie Kazałnicy: niewybitny filarek pomiędzy drogami Momatiuka i Kiełkowskiego. Na wysokości strefy przewieszanej nietknięty pas ściany między tymi drogami osiągał szerokość aż 40 m! Droga powyżej „bazy wysuniętej” biegnie całkowicie samodzielnie, a kończy się wspólnie z drogami Chrobaka i Heinricha, „Pająków” i innymi. Tylko jeden wyciąg ma charakter hakowy, całą resztę — jeśli wyłączyć 4 m A1 oraz 3 punkty A0 pokonuje się klasycznie. Wspinaczka jest wyjątk-



kowo piękna, obfite w efektywne klasyczne przejścia przez przewieszki i okapki, możliwe dzięki korzystnemu ukształtowi skały, o charakterystycznych miseczkowatych występieniach, na innych drogach na Kazalnicy występujących rzadziej (być może przyczyną ich powstania jest wypukłość formacji, którą wiedzicie nasza droga). Jedynym mankamentem jest ów wyżej wspomniany wyciąg hakowy, na domiar złego trudny.

Znając część terenu z poprzednich prób, zdecydowaliśmy się — korzystając z doskonałych warunków — na przejście jednodniowe. Zrezygnowaliśmy całkowicie z odzieży i żywności biwakowej. Nocy w ścianie nie udało nam się jednak uniknąć — spędziliśmy ją w płachtach NRC dwa wyciągi przed końcem trudności — na wisząco.

Wojciech Kurtyka

OBÓZ KWALIFIKACYJNY 1978

W dniu 19 lutego — 4 marca 1978 r. odbył się w rejonie Morskiego Oka doroczny obóz kwalifikacyjny dla wybijających się młodych taterników. W obozie wzięło udział 20 osób. Kierownikiem był Janusz Kurczab, zaś kadrę instruktorską tworzyli Zbigniew Wach, Janusz Mączka, Zbigniew Dudrak i Wiesław Krajewski. Piętnastu przedstawicieli młodzieży taternickiej reprezentowało 10 klubów. Zgodnie z założeniami postawionymi przez Komisję Sportową PZA, obóz miał rozszerzony program teoretyczny. Odbyło się 6 prelekcji połączonych z dyskusjami. Oto niektóre z tematów: „Taktyka zimowych przejść aplejskich”, „Skala trudności skalnych”, „Hindukusz — osiągnięcia i perspektywy”, „Sportowe problemy Karakorum”.

Aura odstąpiła tym razem od złej tradycji, toteż również pod względem sportowym obóz można z całą pewnością uznać za najowocniejszy ze wszystkich dotychczasowych. Na okres trwania obozu z działalności została wyłączona ta połać ściany Kazalnicy, na której najczęściej panują dobre warunki w skale (pomiędzy drogami: Długosza a Chrobaka i Heinricha). Dało to w efekcie intensywny szturm na pozostałą część urwiska. A ponieważ i tam warunki stopniowo się poprawiały, zaś ambicji i umiejętności nie brakowało, wyniki nie dały na siebie długo czekać.

Dokonano dwóch jednodniowych przejść drogi Chrobaka i Heinricha, którą dotychczas przechodzono w 3—4 dni (Zbigniew Czyżewski i Janusz Kurczab — 28 lutego, oraz Stanisław Handl i Tadeusz Karolczak — 4 marca), przejścia drogi Czoka na ścianie Kotła Kazalnicy (S. Handl i Marek Zierhoffer — 23—25 lutego, z poręczowaniem i powrotem zjazdami ze skrają Kotła) i „direttissima” ściany Kazalnicy (Handl, Zierhoffer i Karolczak —

1—2 marca). Poprowadzona też została nowa droga w głównym spiętrzeniu ściany, pomiędzy drogami Momatiuka i Klekowskiego (Czyżewski i Wojciech Kurtyka — zob. s. 85). Ataki na typowo zimowe drogi w rejonie Wołowego Grzbietu czy Mieguszowieckich Szczytów nie były już tak skuteczne, zaś jedyne większe osiągnięcie spoza Kazalnicy stanowiło I zimowe przejście „Wielkiego Komina” na północno-wschodniej ścianie Małego Młynarza (Czyżewski i Michał Momatiuk — 2 marca). W powyższym wykazie ograniczyłem się tylko do najlepszych przejść z udziałem młodych uczestników zgrupowania.

Obóz wykazał świetne przygotowanie techniczne i kondycyjne większości uczestników. Dotyczy to zwłaszcza Zbigniewa Czyżewskiego i Stanisława Handla, którzy zademonstrowali także wyjątkową przebojowość. Unaoznaczona została jeszcze raz prawda, że posiadamy liczną grupę młodych wspinaczy skalnych reprezentujących wysoki poziom, dla których ściany tatrzańskie stały się już zbyt łatwe i małe. Szkoda tylko, że skromny kalendarz PZA w tak niewielkim stopniu może ten fakt uwzględnić.

Janusz Kurczab

30 GODZIN NA ZADNIEJ BASZCIE

W dniach 19—21 lutego 1978 r. przeszedłem wraz z Maciejem Berbeką i Ryszardem Gajewskim wschodnią ścianę Zadniej Baszty wprost środkową depresją. Trasa naszego przejścia pokonuje wielkie spiętrzenie środkowej depresji, spod którego droga Puśkaśa ucieka na prawy filar. Ściana jest tu krucha, źle uwarstwiona i słabo uszczelniona. Wyciągi w spiętrzeniu są klasycznie-hakowe, co w połączeniu z silnym zaśnieżeniem i zalodzeniem skały wymaga używania raków przez cały czas wspinaczki. Szczególnie uciążliwa była hakówka w rakach. Stanowiska w górnej części spiętrzenia były niepewne, co przysparzało nieco emocji idącemu na zaciskach trzeciemu z zespołu. Przejście całej drogi zajęło nam 29 godzin efektywnej wspinaczki, przy czym 20 godzin przypadło na główne spiętrzenie depresji. Przez całą drogę towarzyszył nam silny mróz, który nocą przekraczał -30° . Trudności oceniamy w przybliżeniu na V+, A0—A2 — w dużym nagromadzeniu na kluczowym odcinku. Chciałbym polecić tę ścianę „orazom Kazalnicy”. Sądzę, że i tu mogliby oni zasmażać smaku trudnej wspinaczki, tym bardziej, że do powtórzenia jest jeszcze słowacka direttissima (Belica, Koller, Ondraš i Tarabek), która w swoim czasie uznana została za drogę roku na Słowacji. Idzie ona średnio ok. 30 m na lewo od drogi przebytej przez nas, krzyżując się z nią w górnej części ściany.

Andrzej Machnic

Nowe drogi w Tatrach

BU CZYNOWA STRAŻNICA

Wejście (I zimowe) filarem ograniczającym z lewej strony Komin Pokutników: Jacek Markiewicz, Zbigniew Migdał i Tadeusz Serkowski, 31 III 1978 r. Trudności V, 8 godzin. Droga ma duże walory zimowe.

Wejście znajduje się w miejscu, gdzie opada filar przelamujący ścianę lewego ograniczenia Komin Pokutników. Płytkim zacięciem na półkę i w górę pod strone trawki (IV—). Nimi pod płytę nachyloną w prawo; pokonujemy ją środkiem zacięcia (IV+), które tworzy ona ze ścianą po lewej stronie. Dalej zacięciem 4 m na

dużą półkę i w prawo do lekko przewieszzonego kominka, którym wprost (V) na trawki. Pod odpychającym blokiem na wąską półkę (V), w prawo na ostrze i przez kosówki (w lewo w sios) na dobre stanowisko pod płytową ścianą. Stąd w prawo i niezwykle stromymi podciętymi trawkami w dół, na wysokość gzymsu biegnącego w poprzek ściany. Krok na ów gzyms (duża ekspozycja, IV) i gzymsiem w prawo do traw wyprowadzających na pochyłą trawiastą platformę, którą w lewo na ostrze. Dalej kruchym kominkiem (III) na piarzystą półkę. Teraz płytowym zacięciem 4 m. do góry (IV+) i w pra-

wo za ostrze, skąd źlebem do jego końca. Wychodzim lewą stroną (IV—) i kosówkami 20 m do ścianki. W górę kominkiem, przez trawy i jeszcze jedną ściankę na grań, którą 30 m do miejsca, gdzie kończy się Komin Pokutników. Stąd 250 m (I—II) na wierzchołek Buczynowej Strażnicy.

W czasie przejścia skorzystaliśmy z 2 haków jako chwytów. Powyższy tak szczegółowy opis przedstawiamy z tego powodu, iż nie jesteśmy pewni czy powtórzyliśmy drogę Andrzeja Skłodowskiego i tow. z lata 1977 (T. 4/77 s. 178), czy też jest to częściowo nowa droga.

J. Markiewicz

STAROLEŚNY SZCZYT

Droga prawą częścią kulsy pd-wsch. ściany Staroleśnej Kopy — z Doliny Sławkowskiej. I przejście: Michał Kočańczyk, Andrzej Matuszyk i Paweł Mularz 6 IV 1977. Trudności IV, miejsca V—, 3–3 1/2 godziny. I przejście: 7 godzin.

Droga przebiega między drogą J. Kielkowskiego (T. 1/75 s. 36) a prawą krawędzią ściany. Ma ona 6 wyciągów (180–200 m) — licząc do połączenia z wsch. granią Staroleśnego Szczytu (WHP 1850 T—Y). Główne trudności to 3 dolnych wyciągach. Wejście — jak w drogę Kielkowskiego lub kilkanaście metrów na prawo od niej. Ścianką do najwyżbitniejszego w tej części ściany skalno-trawiastego zacięcia (IV, V—); nim w górę pod zamykające je ukośnie w prawej przewieszki (IV, V—), pod którymi kilkunastometrowy trawers w lewo i dalej w górę przewieszonym kominkiem (V—) na leżąca nad przelaniem ściany wielką płytę. Nią w prawo w skos w górę do krawędzi ściany (III). Krawędzią tą, mającą początkowo charakter ostrej, obrywającej się ku pd. zlebowi Staroleśnej Szczyrbiny żrańki — do kulminacji kulsy (III), skąd — już drogą WHP 1852 — na wsch. grań Staroleśnego Szczytu. Granią — przez Staroleśną Kopę — na wierzchołek Tajberowej Turni.

Uwaga. Droga Kielkowskiego rozwiązuje środek omawianej ściany, jej lewą stroną poprowadzili w r. 1976 dwie inne drogi taternicy słowacy.

A. Matuszyk

WIELICKA KOPA

Prawym filarem wsch. ściany, z Doliny Sławkowskiej — II przejście, I przejście zimowe: Michał Kočańczyk i Andrzej Matuszyk 3 IV 1977. Trudności III, 1 1/2 godziny. (Informację o I przejściu zawdzięczam W. H. Paryskiemu.)

Prawe ograniczenie trawiasto-skalistej wsch. ściany Wielickiej Kopy i jednocześnie lewe (orograficznie prawe) — wsch. zlebu spadającego z Dwoistej Przełęczy tworzy dość pionowy spiętrzony filar. Biegająca nim droga (ok. 8 wyciągów) nie ma większych walorów wspinaczkowych, gdyż powyżej trzeciego wyciągu można wytrawersować z niej łatwo w lewo — w zasadzie z dowolnego miejsca — ku położej części ściany.

A. Matuszyk

BARANIE ROGI

Nowe warianty na południowej ścianie między drogami WHP 2961 a 2962: Jerzy Grajpel i Krzysztof Mosingiewicz, 15 IV 1978 r. Trudności IV+, 3 godziny.

Południową ścianę Baranich Rogów przecina w jej środkowej części wyraźna depresja. Wyznacza ona ogólny kierunek drogi. Wejście w ścianę między drogami WHP 2961 a 2962. Łatwym terenem (II) wprost w górę 3 wyciągi, pod koniec razem z drogą WHP 2962. Od miejsca gdzie depresja spiętrza się (droga WHP

2962 odchodzi tu w lewo) — skośnie w prawo na dużą półkę skalną na filarze, ograniczającym z prawej strony naszą depresją (III). Z półki trawers 2 m w prawo i skośnie w górę do systemu zacięcia, ciągnącego się nad wspomnianą półką (IV+). Stąd kilkanaście metrów w górę, aż do kominka z zaklinowanym blokiem. Kominkiem wprost w górę (IV+) na łatwiejszy teren, którym jeszcze ok. 10 m na pas półek przecinających południową ścianę Baranich Rogów. Stąd drogą WHP 2962BCD (IV) na Baranią Galerię i dalej na szczyt.

J. Grajpel

KAPALKOWY ŚLUP

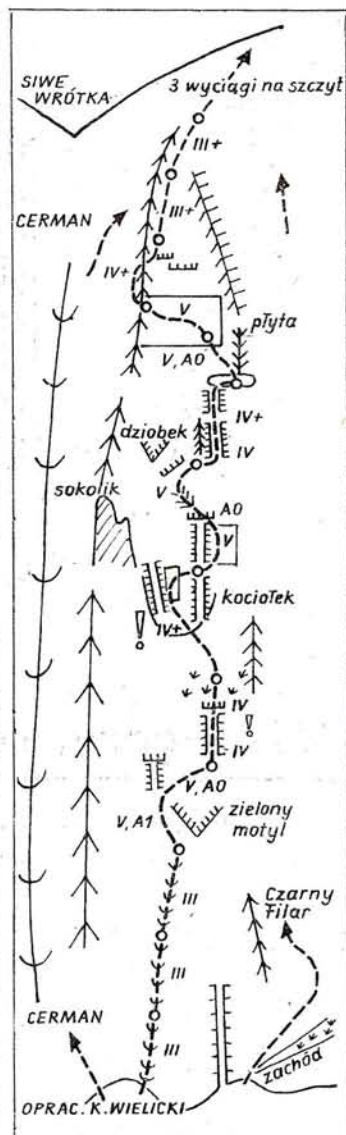
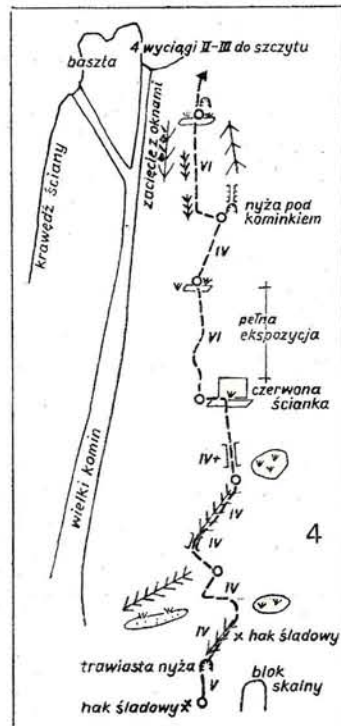
I wejście pd. filarem: Ewa Harasimowicz, Jacek Bilski i Władysław Cywiński, 1 V 1977. Trudności IV, 2 godziny.

Filar ten ma ok. 150 m wysokości i opada do Doliny Suchej. Droga prowadzi ostrzem, bądź w jego pobliżu, liczy 6 wyciągów. Trudności głównie III, kilka miejsc IV.

ŚWISTOWY RÓG

Nowy wariant lewą częścią pn-wsch. ściany, z Doliny Rówienek: Andrzej Bieluń i Jerzy Tillak 7 IX 1977. Trudności VI, 6 godzin.

Wejście w ścianę kilkanaście metrów na prawo od wielkiego komina, w spadku dużej trawiastej nyży. Droga wiedzie ścianą między depresją a kominkiem (którym biegnie droga Gajewskiego). W monografii J. Pechouša nr 4. Szczegóły na rysunku.

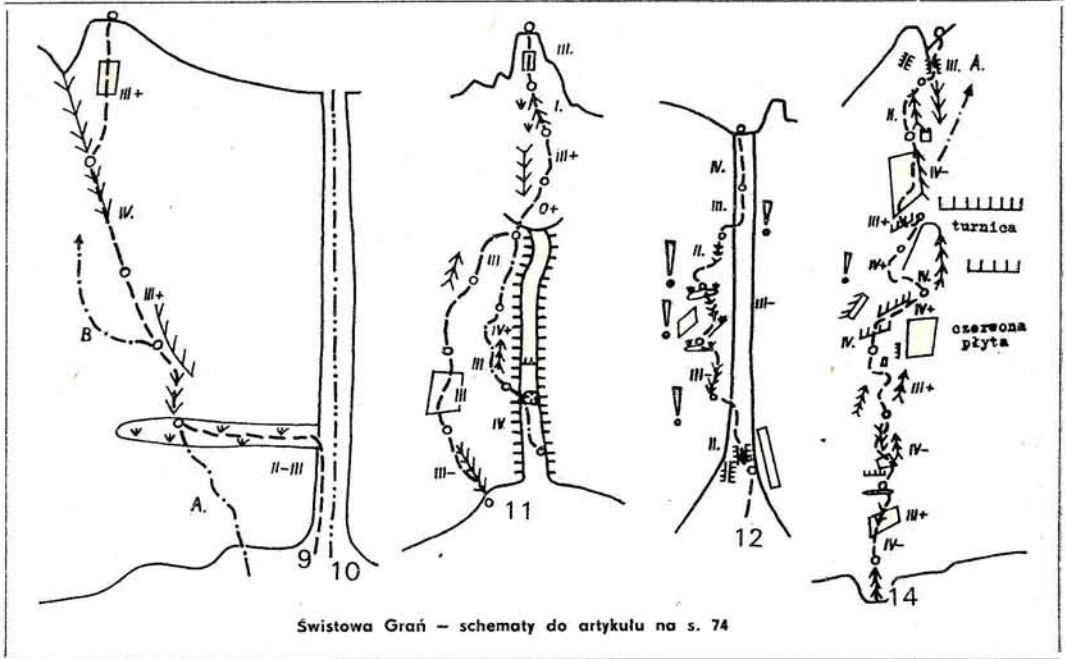


JAWOROWY SZCZYT

I wejście środkiem pn-wsch. filara (tzw. filara Cermana): Czesław Bajsarowicz, Lucjan Górski i Krzysztof Wielicki, 4–6 II 1978. Trudności V, A1. Czas pierwszego przejścia 22 godziny.

Droga ma 16 wyciągów długości i wiedzie środkiem filara, między drogami Cermana i „Czarnym Filarem”, łącząc się z pierwszą z nich na wysokości Siwych Wrótek. Wejście w ścianę ok. 10 m na lewo od najniższego punktu filara. Szczegóły na szkicu.

Uwaga: W jednym z najbliższych numerów zamieścimy monografię wspinaczkową północnych ścian Jaworowych Szczytów w opracowaniu Krzysztofa Wielickiego.



Swistowa Gra — schematy do artykułu na s. 74

Różne góry, różne lata

„NORSKERUTA” OBRONIŁA SIĘ

W dniach od 10 lutego do 11 marca 1978 r. działała w rejonie Romsdal w Norwegii dwójka szcześcińskich alpinistów — Stefan Czečko i Tadeusz Piotrowski, planując pierwsze zimowe (a drugie w ogóle) przejście drogi norweskiej („Norskeruta”) na ścianie Trollveggen. Droga ta została poprowadzona w 1965 r. w ciągu 11 dni przez czwórkę Norwegów z Eliassenem na czele. Ma ona 150 m długości, trudności oceniono na VI, A3, pamiętać jednak trzeba o tym, że w odróżnieniu od directissimi francuskiej jest w większości drogą klasyczną. Nasz wyjazd pomyślany był jako mocny akcent sportowy na 25-lecie istnienia Szczecińskiego Klubu Wysokogórskiego, nie przyniósł niestety oczekiwanego sukcesu.

Ciągły opad śniegu od 14 do 22 lutego opóźnił nam poręczowanie dolnego spiętrzenia ściany liczącego ok. 120 m wysokości (V—VI, A3). Dopiero 28 lutego byliśmy gotowi do podjęcia decydującego ataku, mając rozpiętych 210 m lin poręczowych i ok. 100 kg sprzętu i żywności pod ścianą. Planowaliśmy, że w ścianie spędzimy 12—15 dni. W dniu 2 marca pokonaliśmy odcinek zaporeczowany i dalsze 50 m terenu, zaś 3 i 4 marca kilka następnych wyciągów, które doprowadziły nas do miejsca biwakowego, nazwanego przez zdobywców Gniazdem Orła (ok. 350 m od podstawy ściany, w 1/3 długości drogi). W nocy z 4 na 5 marca podniosła się temperatura i rozpoczął się ciągły opad śniegu, powodujący pyłówki, zasypujące nasz namiot.

Po dwóch ciężkich biwakach i otrzymaniu przez radiotelefon niepomyślnej prognozy pogodowej na najbliższe dni zdecydowaliśmy się na odwrót, zdając sobie sprawę, że tej zimy jest to ostateczna rezygnacja z szturmowania ściany. 7 marca w późnych godzinach wieczornych byliśmy z powrotem na dole, a kolejne dni potwierdziły słuszność naszej decyzji: niepogoda utrzymywała się i dalszy postęp w ścianie nie byłby możliwy. 13 marca udaliśmy się w drogę powrotną do kraju, żegnani przez państwo Hegenów, którzy w trakcie naszej działalności służyli nam wszelką pomocą.

Stefan Czečko

W KARWENDELGEBIRGE

W drugiej połowie lipca 1977 r. wspinałem się wraz z Janem Narożniakiem w górach Karwendel, położonych na północ od Innsbrucka. Udało nam się tu przejść dwie drogi, a mianowicie północno-zachodni kant Lalidererspitze (wysokość 750 m, IV+) oraz północne zacięcie Kleiner Lafatscher (400 m, VI). Szczególnie interesujący i słynny jest mur Lalidererwand, przekraczający 800 m wysokości. Drogi wiodące nim są wysoko oceniane przez znawców i uważane za jedne z najpoważniejszych w całych Alpach Wschodnich. Ich autorami są tacy mistrzowie skalnej wspinaczki, jak Mathias Rebitsch, Mathias Auckenthaler czy Otto Herzog. Śkała w Karwendlu jest przeważnie b. krucha, co stawia przed wspinaczami dodatkowe wysokie wymagania.

Karwendel był rzadko przez Polaków odwiedzany. O ile mi wiadomo, przed nami bawili tu dwa sportowo nastawione zespoły z kraju, a jedynym udanym przedsięwzięciem jest przebycie północnego zacięcia Kleiner Lafatscher przez Marka Babiniego z Heinzem Borcherssem (RFN) — uważanego za jedną z najładniejszych dróg w Karwendel.

Andrzej Machnik

PRZEDWIOŚNIE W GRECJI

Dwaj piloci z Zakładu Usług Agrolotniczych Gdańsk — Fryderyk Udziela i Grzegorz Kuhl — wykorzystali przerwę w podróży służbowej, by zwiedzić kilka szczytów w górach Grecji. Na Krecie — metodą wypadów autobusowych z Iraklionu — weszli w dniach 14, 15 i 16 marca 1978 r. kolejno na szczyty Archaes (ok. 18.00 m), Psilortis (2456 m) i Soathi (2148 m — w górach Dikti). 18 marca odbyli z Salonik wycieczkę na Olimp, osiągając wierzchołki Stefani (2909 m) i Mytikas (2917 m). Przełom wiosny i zimy jest, ich zdaniem, dobrym okresem do uprawiania turystyki górskiej w Grecji, a podejścia i powroty wśród gajów oliwnych i winnic pozostawiają niezapomniane wrażenia.

Wyprawy w góry egzotyczne

TAJNE MISJE W HIMALAJACH

W połowie kwietnia 1978 r. w kilku amerykańskich dziennikach pojawiły się informacje o tajnych operacjach Centralnej Agencji Wywiadowczej USA (CIA) w Himalajach Garhwalu w Indiach. Zdaniem dziennikarzy, w 1965 r. grupa alpinistów z USA, finansowanych przez CIA, zorganizowała wyprawę na Nanda Devi (7816 m) i na południowych zboczach tego szczytu umieściła kilkudziesięciokilogramowy aparat, służący do rejestrowania wybuchów atomowych, dokonywanych w prowincji Sinkiang w ChRL. Urządzenie miało być zamontowane na samym wierzchołku, ale zła pogoda uniemożliwiła wejście i ostatecznie Amerykanie umieścili aparaturę ok. 600 m poniżej szczytu. Aparatura wyposażona była we własny izotopowy generator prądu, zawierający kilka kilogramów radioaktywnego plutonu 238.

Gdy w rok później alpinści z USA powrócili na Nanda Devi, stwierdzili, że aparat wraz ze źródłem zasilania zniknął porwany przez lawinę.

W 1968 r. podobne urządzenie umieszczone zostało na szczycie Nanda Kot. W następnych latach CIA nie korzystała już z tego typu urządzeń; bardziej dokładne informacje o wybuchach nuklearnych w Chinach uzyskiwano z satelitów wywiadowczych.

Doniesienia amerykańskich gazet wywołały zrozumiałe zaniepokojenie w całym świecie. Niezależnie bowiem od politycznego aspektu zajęcia — istnieją obawy, że aparatura, która zaginęła w lawinie, może z czasem ulec korozji i radioaktywny pluton (który jest nadto bardzo silnie trujący) może przedostawać się wraz z topniejącym śniegiem do wód wpływających do Gangesu, nad którym zamieszkują miliony Hindusów.

Andrzej Skłodowski

ROZMAITOŚCI

☆ „Alpinismus” nr 4/1978 zamieszcza duży artykuł Hansa Losse, będący przewodnikiem po znanych i mniej znanych rejonach górskich Iranu. „La Montagne et Alpinisme” w numerze 1/1978 poświęca 18 stron tematowi „Andinisme au Pérou” (mapki, ilustracje, informacje praktyczne). Ten sam zeszyt zawiera też monograficzny artykuł o Spitsbergenie.

☆ Po udziale Irańczyka w wejściu na Manaslu w r. 1976, alpinistom irańskim marzy się Mount Everest. By ominąć długą kolejkę oczekujących na „swój” sezon po stronie nepalskiej, nawiązali oni kontakt z Chińczykami. W grudniu 1977 r. bawił w Teheranie prezes chińskiej organizacji wysokogórskiej, Han Futung, który omówił z irańskim generałem

Khakbizem szczegóły wspólnej wyprawy planowanej na r. 1979. Obie strony podpisały w tej sprawie wiążące porozumienie.

☆ Rok 1977 był w górach Alaski rokiem dobrym. Mount McKinley zaatakowały 64 wyprawy z łączną liczbą 360 ludzi, z czego 284 osiągnęło wierzchołek. Słynny filar Cassina na południowej ścianie miał kilka udanych przejść, w tym przejście samotne (z wykorzystaniem poręczówek rozpiętych przez wyprawę japońską).

☆ Sześciuosobowa Manchester University Hindu Kush Expedition 1977, wyposażona w mapę Jerzego Wali, działała w Zebak. Dokonano 12 wejść w stylu alpejskim, w tym 8 na dziewicze szczyty. Zdobyto m. in. KZ 99 (5045 m), KZ 70 (5070 m), Qualat (KZ 75, 5400 m), KZ 89 (5600 m), KZ 88 (5250 m), Kalisa-i Sandzi (KZ 100, 5640 m) i Sare Kalan (KZ 92, 5650 m). Wyprawą kierował Richard Eastwood.

☆ Rząd Nepalu zakomunikował w końcu stycznia, że otwarte zostały dla alpinistów 42 szczyty w Himalajach, dotąd objęte zakazami odwiedzania. 80 procent z nich nie miało podobno pierwszych wejść. Podzielono je na 3 grupy, 17 łącząc w grupę „A”, zarezerwowaną wyłącznie dla ekspedycji nepalskich. (A. Janik)

☆ Jerzy Wala podsumował ostatecznie polski rok 1977 w Hindukuszu Afgańskim. Działy tam 23 zorganizowane grupy z łączną liczbą 180 alpinistów. Kompletnie zestawienie przejść zajęło 17 stron maszynopisu. Najosobliwszą polską „wyprawą” był zespół rodzinny Rubinowskich: Teresa i Zbyszek, ich czworo dzieci oraz synowa — łącznie 7 osób o tym samym nazwisku.

☆ Fédération Française de la Montagne przygotowuje na rok 1979 wyprawę narodową na K2. W skład ekipy mają wejść najwybitniejsi alpinści francuscy, ażeby — jak stwierdzono — zagwarantować pewny sukces tego prestiżowego przedsięwzięcia.

ECHA WYPRAWY NA K2

W miesięczniku „Alpinismus” nr 2/1978 ukazało się krótkie lecz wyczerpujące omówienie polskiej wyprawy na K2 w roku 1976, napisane przez Toniego Hiebelera. Stwierdza on w zakończeniu, co następuje: „Wyprawa musiała zrezygnować ze zdobycia szczytu. Mimo to dokonali Polacy jednego z największych wyczynów w całej historii eksploracji Karakorum. Dowiedli oni, że również najwyższe szczyty Ziemi mogą być atakowane bez użycia tragarzy wysokościowych — z pełną nadzieją na powodzenie.” Uzupelnienie materiału stanowi zdjęcie masywu K2 z nanieśioną marszrutą naszej wyprawy.

Jaskinie i speleologia

OPTYMISTYCZNA NADAL TRZECIA

Do Jaskini Optymistycznej w ZSRR wyjeżdżali Polacy już kilkakrotnie, a i „Taternik” nieraz informował o sukcesach odkrywczych w tej największej gipsowej jaskini świata. Lwowski Klub Speleologiczny „Cyklop” zaprosił mnie do wzięcia udziału w ostatniej, 42 wyprawie.

W okresie od 4 do 11 lutego 1978 r. działali w jaskini 22 osoby pod kierownictwem Haliny Tkaczuk. Pod ziemią założono dwa obozy, rezygnując tym razem z bazy namiotowej na powierzchni w pobliżu otworu. Zasadniczym celem wyprawy było odkrycie i skartowanie przynajmniej 4 kilometrów korytarzy, tyle, aby „przeskoczyć” szwajcarską jaskinię Höloch. Uzyskanie tego wyniku nie mogło być dla nikogo z uczestniczących w wyprawie niespodzianką, a jednak kiedy któregoś wieczoru, po powrocie wszystkich dwójek do obozu, zsumowano długość nowo odkrytych partii, rozległy się okrzyki nieklamanej radości. Po dodaniu do znanych już partii 5638 metrów, łączna długość Optymistycznej wyniosła 131 467 m. A więc pierwsze miejsce w Europie i drugie na świecie!

Od chwili odkrycia w 1966 roku, długość Optymistycznej wzrasta w niezwykłym tempie i ciągle nie sposób nawet w przybliżeniu ocenić jej całkowitej wielkości. W rok po odkryciu miała już ok. 10 km i była najdłuższą w ZSRR. Od tego czasu, choć stale „deptała jej po piętach” Jaskinia Ozerna, prymatu tego już nie oddała. Dzisiaj myśli się o odzyskaniu korytarzy łączących obie te jaskinie w jeden system. Optymistyczna (131,5 km) i Ozerna (102,5 km) leżą w sąsiadujących ze sobą gipsowych masywach, a odległość pomiędzy najbliższymi położonymi miejscami wynosi około 800 m. Po to, by przebyć tę odległość, trzeba będzie spenetrować jeszcze kilkadziesiąt kilometrów dotąd nieznanymi korytarzami. Prace eksploracyjne utrudnione są obserwowanym w ostatnich 5—6 latach podniesieniem się poziomu wody, szczególnie w Jaskini Ozernej. W miejscach niedawno jeszcze suchych, teraz trzeba poruszać się w wodoszczelnych kombinizonach. Połączenie obu jaskiń z pewnością napotka na niejedną trudność: masywy w których leżą są przedzielone doliną. Prace odkrywcze zmierzają być w kierunku łączącego oba masywy siodła, w którym być może znajdują się podziemne przesmyki. Idea połączenia obu jaskiń żywa jest w dwu rywalizujących ze sobą klubach, lwowskim i tarnopolskim — tym większa jest więc szansa na jej zrealizowanie.

Niestety, po jakimś czasie przeżyliśmy rozczarowanie. Z lektury czasopism wynikało bowiem, że nasi szwajcarscy koledzy też nie

próżnowali i zimą 1976—77 eksplorację Höloch doprowadzili do 135 km. A więc Optymistyczna pezcera nadal zajmuje miejsce trzecie — po amerykańskiej Flint Mammoth Cave System (320 km) i po szwajcarskiej Höloch... Jak długo? Na to pytanie odpowiedzą kolejne wyprawy.

Christian Parma

W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Z okazji 15-lecia nadania form organizacyjnych speleologii radzieckiej, miesięcznik „Turist” (Moskwa) poświęcił 3 kolumny kwietniowego numeru na magazyn jaskiniowy. Dowiadujemy się z niego, że w Związku Radzieckim działa obecnie przeszło 60 sekcji i klubów speleologicznych, zrzeszających ok. 7000 członków. Odkryli oni i zbadali ok. 3000 jaskiń — 800 na Krymie, 400 na Kaukazie, 200 w Ałaju, 200 w Sajnach i 200 na Uralu. Rekordzistkami długości są wśród nich jaskinie Optymistyczna (131,47 km) oraz Ozerna (102,5 km), rekord głębokości dzierży zaś Szachta Kijewska w Kilsii (—950 m). Centralną siekcyją speleoturizmu, której prezesem jest dr W. Iljuchin, organizuje corocznie 20—25 kursów szkoleniowo-treningowych i 7—10 ogólnokrajowych obozów sportowych i zgrupowań instruktorskich. „Turist” podkreśla zasługi grotolazów dla gospodarki kraju — zwłaszcza przy budowie wielkich inwestycji wodnych i badaniach reżimu wodnego.

III SZKOŁA SPELEOLOGICZNA

Z inicjatywy Instytutów Geografii Uniwersytetów Wrocławskiego i Śląskiego (w Sosnowcu), przy współpracy Uniwersytetu im. Palackého w Ołomuńcu, odbyła się w dniach 1—15 lutego 1977 r. III Szkoła Speleologiczna w której wzięło udział 98 osób. Sesja referatowa i seminaria z zakresu praktycznych zastosowań badań krasu odbyły się w Łądku Zdroju. Zajęcia praktyczne szkoły przeprowadzono w dolinie Kleśnicy (masyw Śnieżnika), Jaskini Niedźwiedziej w Kletnie, masywie Szczelińca oraz jaskiniach Morawskiego Krasu w CSRS. W III Szkole wzięli też udział zagraniczni speleolodzy z Czechosłowacji, Węgier, Francji i Wielkiej Brytanii. Oceniając działalność dwu poprzednich Szkół (I — 1975, II — 1976) i obecnej, należy podkreślić ich duże znaczenie dla upowszechnienia dorobku naukowego polskiej speleologii, pozostającego w cieniu osiągnięć sportowo-eksploatacyjnych. Inicjatorem i kierownikiem wszystkich trzech Szkół był doc. dr Marian Pulina, zaś opiekunem naukowym — prof. dr Alfred Jahn.

Jerzy Mikuszewski

PRÓBA W PIERRE SAINT MARTIN

Zespół z Groupe Speleologique Haute-pyrénéen (Bernard Vigneau, Ruben Gomez, Pierre Batan, Bernard i Philippe Bobeau, Jacques Carro, Richard Dutauzet i Alain Radeuil), przygotowany przez Michela Deuata, podjął próbę całkowitego (integrale) przejścia najgłębszej jaskini świata, Pierre Saint-Martin (—1331 m). Akcję rozpoczęto 13 lutego o godzinie 14, schodząc przez otwór Gouffre du Beffrei (2043 m). We wtorek o godzinie 3 osiągnięto połączenie kominów otworu Lépineux z głównym ciągiem, a w dwie godziny później salę Verna, gdzie miała nadejść — przez sztolnię EDF — grupa zabezpieczająca. Do spotkania nie doszło i zespół szturmowy kontynuował zejście, osiągając w środę o godzinie 2 najniższy punkt systemu. W czasie powrotu w sali Verna nastąpiło spotkanie z grupą zabezpieczającą, która przyniosła wiadomość o gwałtownej odwilży na powierzchni. Mimo to postanowiono spróbować powrotu do otworu Beffrei. 16 lutego o godzinie 2 osiągnięto Grande Barriere, otwierającą wodny korytarz Grand Canyon, w którym nastąpił już jednak przybór wód, uniemożliwia-

jący dalszą akcję. Podjęto decyzję odwrotu i zespół opuścił jaskinię przez sztolnię EDF. W sumie przebyto 28 km korytarzy a obciążenie przy zejściu wynosiło 20—25 kg na osobę. Akcja ta cieszyła się dużym zainteresowaniem prasy francuskiej, która przedstawiła ją jako największe sportowe osiągnięcie francuskiego alpinizmu jaskiniowego. Według „l'Express” z 20 lutego, uczestnicy zapowiadają ponowienie ataku.

Andrzej Paczkowski

W MEKSYKU

Jak podaje „Spelunca” 2/1977, w jaskini Sotano de San Agustin (Huautla de Jimenez, Oaxaca, Meksyk) speleolodzy z Association for Mexican Cave Studies (AMCS) w Austin w Teksasie (USA) dotarli w marcu 1977 r. do syfonu na głębokości —859 m. Jednocześnie osiągnięto w jaskini La Grieta głębokość 665 m (maj 1977) i w Cueva de Tornado —420 m. Wszystkie wymienione jaskinie są rozwinięte blisko siebie, co stwarza realną możliwość połączenia ich w jeden system o potencjalnej deniwelacji około 1400 m.

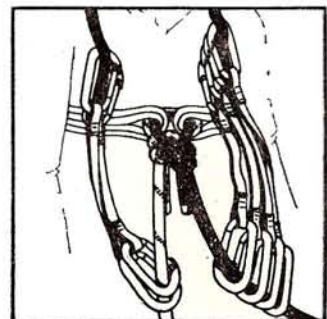
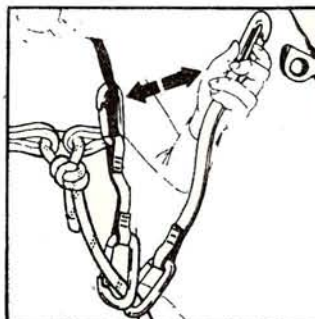
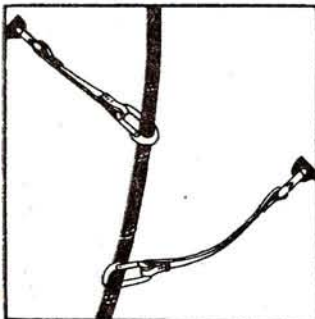
Jerzy Mikuszewski

Sprzęt i ekwipunek

Rewelacji nie ma

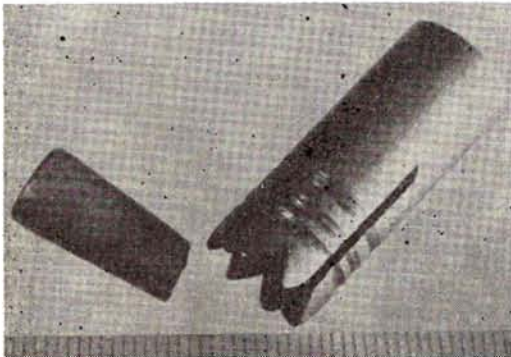
W końcu lutego 1978 r. odbyły się w Monachium międzynarodowe targi zimowego sprzętu sportowego. Na powierzchni 80 000 m kw. wyłożyło swe propozycje 1055 wystawców z 29 krajów. Redaktorzy miesięcznika „Alpinismus” przez 3 pełne dni zwiedzali sektor wspinaczkowy wystawy. Rewelacji nie ma — stwierdzili — we wszystkim jednak widoczny jest dalszy postęp. Wyróżniają oni kilka wyrobów. Firma „Edelrid” opracowała nowy uniwersalny typ uprząży wspinaczkowej „Glacier Kombi” — bardzo prosty, dwuczęściowy, przy czym części dolna i górna mają różne kolory, co ułatwia ich nakładanie; waga 350g, cena tylko 65 marek. W katalogu tej samej firmy znalazł się nowy model płytki do aseku-

racji dynamicznej i do zjazdów, nazwany „Banki”, podobno bardzo poręczny a przy tym oszczędzający linę. Płytkę przypina się karabinkami do obu oczek pasa piersiowego, W stoiskach obuwniczych pojawił się wielki wybór lekkich trzewików wspinaczkowych i wycieczkowych (0,9 — 1,2 kg para), turyści alpejscy zrozumieli bowiem, że na wędrowce w Dolomitach czy Dachsteinie w „Triplexach” wygląda się co prawda „bojowo”, płaci się jednak za to zmęczeniem nóg i odparzeniami. W dziedzinie plecaków prowadzenie objęła angielska firma „Berghaus” a u wszystkich producentów obserwuje się stopniowe wycofywanie tak w ostatnich latach modnych nosidełek. Wartą „odpatrzenia” ciekawostką, oferowaną już w zeszłym roku, są tzw. pętle expressowe (zob. rysunki).



Stanowiska zjazdowe z nitów

Czy zakładanie stanowisk zjazdowych z nitów przyspiesza akcje, czy czyni ją bezpieczniejszą, czy wpływa hamująco na proces niszczenia jaskiń? Członkowie KKTJ jako pierwsi w Polsce odpowiedzieli na te pytania „tak”. Podczas obozu speleologicznego KKTJ PZA „Tatry 76” rozpoczęto zakładanie nitów stanowiskowych, otrzymanych od zaprzyjaźnionych grotolazów francuskich. Od tego czasu prace w tym kierunku są kontynuowane, a do członków KKTJ przyłączyli się ostatnio grotolazi ze Śląska, wbijając kilka nitów w Jaskini nad Kotlinami. Komplet nitów ma już Jaskinia Wielka Litworowa, zaledwie 3 brakuje w głównym ciągu Jaskini Czarnej. Wiele nitów wbito również w Jaskini Bańdzioch Kominarski oraz 3 w jaskini Ptasiej Studni.



Fot. Adam Urbaniak

Szczegółowy inwentarz nitów publikowany jest na bieżąco w Biuletynie KKTJ „Jamińnik”, do którego odsyłam wszystkich zainteresowanych. Poważnym hamulcem w tej akcji jest wysoki koszt nitów oraz trudności z ich zdobyciem — wszystkie dotychczas wbite pochodzą z prywatnych zasobów. Sprawa byłaby o wiele łatwiejsza, gdyby udało się uzyskać pomoc sprzętową ze strony PZA.

Do kolegów korzystających z nitów apelujemy, by nie zabierali pozostawionych na stałe plaketek. Mają one przecież służyć wszystkim...

Krzysztof Kleszyński

Nowości „Salewy”

Najnowszy katalog finny „Salewa” (lato 1978) przynosi szereg nowości, spośród których kilka wartych jest zauważenia.

1. Wykonana z twardego duralu piła do śniegu, przystosowana do umocowania na dziobie czekana czy młotka lodowego; waży 190 g, oddaje duże usługi przy zakładaniu obozów w śniegu, kopaniu jam śnieżnych lub budowaniu igloo.

2. Śruba rurowa do twardych śniegów i firnów — w odróżnieniu od klasycznych śrub lodowych, posiada znacznie większą wysokość

gwintu, przez co osiąga się dużą siłę utwierdzenia. Długość 30 cm, waga 125 g.

3. Karabinek model „Robbins” — najlżejszy z dotychczas wyprodukowanych na świecie, waży bowiem zaledwie 43 g (średnia waga karabinków z lekkich stopów waha się od 60 do 90 g). Redukcję wagi osiągnięto przez zastosowanie pręta o przekroju rurowym, lekkość została jednak okupiona spadkiem wytrzymałości — firma podaje 1600 kG przy normie UIAA ustalonej na 2200 kG.

4. Rolka zjazdowa z mechanizmem do regulacji prędkości — oparta na znanym u nas modelu „Petzl”.

5. Namiot szturmowy „Apollo-Meridian”. Uwagę zwraca niezwykle oryginalny półkulisty kształt dachu, rozpiętego na podłodze w kształcie ośmioboku foremnego. Wymiary 266 x 233 x 132 cm, waga 5,85 kg. W namiocie mogą spać wygodnie 4 osoby.

Tadeusz Solicki

Produkcja i zbyt

Jedna z warszawskich spółdzielni pracy zgłosiła niedawno Polskiemu Związkowi Alpinizmu swoją ofertę w zakresie produkcji sprzętu alpinistycznego. Ponieważ — w odróżnieniu od dotychczasowych współpracujących z nami producentów — spółdzielnia dysponuje doskonale skompletowanym parkiem maszynowym, zbliża się chyba dzień, kiedy szeroki asortyment sprzętu przestanie być przedmiotem westchnień rzesz alpinistów w kraju. Warto też podać, że począwszy od czerwca 1978 r. trzy sklepy PTTK — w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu — rozpoczną sprzedaż raków, 4 modeli haków skalnych i 2 modeli haków lodowych. Powinno to ułatwić uzupełnienie braków w sprzęcie tym, których kluby macierzyste niezbyt się troszczą o swoich członków.

Tadeusz Solicki

Nowe liny

Szeroko znana wytwórnia „Edelrid”, której wyroby opanowały dużą część rynku alpejskiego, wychodzi na sezon 1978 z dwiema nowościami. Lina „Dynaloc-L” mimo tylko 10-milimetrowej średnicy otrzymała atest liny asekuracyjnej. Wytrzymuje 4—5 określonych normą UIAA rwań próbnych, a jej główną zaletą jest wyjątkowa lekkość: 45-metrowy odcinek waży tylko 2,7 kg. Drugą nowością stanowi odmiana pierwszej — lina „Dynaloc-M” o średnicy 11 mm, wytrzymałości rzędu 9 rwań i wadze odcinka 45-metrowego 3,1 kg. Obie liny produkowane są w szlachetnym czarno-złotym deseniu. Nieco mniej znana firma zachodniemiecka „Elite” zaopatrzyła wiosną sklepy sportowe w liny asekuracyjne o średnicy 11,6 mm o nazwie „Superdry 2000” — w pełni impregnowane, silnie rozciągliwe (do 60 proc.) i niezwykle silne. Przy uzyskiwaniu atestu UIAA poddawane próbom 3 odcinki wytrzymały 12, 14 i 16 „odpadnięć”.

Wypadki i ratownictwo

CZARNY ROK W TATRACH

Naczelnik HS TANAP, Ján Klínko, opublikował w „Krásach Slovenska” nr 4/1978 dane statystyczne o wypadkach w Tatrach Wysokich w r. 1977, który nazywa „jednym z najtragiczniejszych w całej historii Tatr”. Łącznie na obszarze słowackiej części Tatr Wysokich śmierć poniosło 27 osób (w tym 1 samobójstwo), zaś ciężkich obrażeń zanotowano 219. Trzy śmiertelne wypadki wydarzyły się na Gierlachu, u trzech innych osób przyczyną śmierci był zawał serca (ludzie w wieku 42, 48 i 67 lat). Dla nas alarmująco brzmi stwierdzenie, że aż 13 wypadków śmiertelnych (równy 50 proc.) wiąże się z uprawianiem taternictwa. Mamy wśród nich 2 Polaków: Michała Glesmanna i Marka Konkela (T. 1/78 s. 42). Śmierć trzeciego Polaka, 33-letniego Antoniego Jędrzejczyka (23 września), zakwalifikowano do wypadków turystycznych. Duże usługi, jak píše Ján Klínko, oddaje Horská služba smigłowic LO-FMV-2, z którego pomocą w r. 1977 przeprowadzono 27 akcji. Przypomnijmy, że również w Alpach uznano rok 1977 za wyjątkowo nieszczęśliwy (T. 1/78 s. 40).

NRD – WYPADKI SKALKOWE

Ratownicy z NRD zanotowali w r. 1977 aż 14 poważniejszych wypadków, w tym 3 śmiertelne. Równy połowa z nich miała miejsce na drogach o średnich trudnościach (IV–VI), które — jak stwierdza raport — przez wyczynowców bywają przechodzone z nonszalancją i lekceważeniem. Z trzech wypadków śmiertelnych dwa dotyczą wspinaczy samotnych. Jeden z nich po odpadnięciu zasnął na linie autoasekuracyjnej i zmarł w wolnym zwisie, m.in. w wyniku uszkodzenia kręgosłupa. Dodać trzeba, że miał on przeszło 20-letni staż wspinaczkowy, był jednak inwalidą pozbawionym obydwu dłoni! Obaj soliści nie pozostawili wiadomości o zamierzonych wyprawach, co było przyczyną długotrwałych akcji poszukiwawczych. Trzeci wypadek śmiertelny wydarzył się również w wyniku odpadnięcia i wolnego zwisu — 1,5 m nad ziemią! — drugiego na linie, życie stracił jednak asekurujący, uduszony krzyżowym opłotem. Popenił on błędy zarówno w założeniu stanowiska, jak i w zaniechaniu jakichkolwiek działań po odpadnięciu towarzysza. „Był to młody, 18-letni chłopak — czytamy w komentarzu ZFK Felsklettern. — Nasuwa się pytanie, co zrobiono w zakresie jego wykształcenia? Sekcje powinny otaczać szczególną opieką te roczniki, które wyrastają z okresu młodzieńczego i dążą do większych wyczynów. Trzeba im przyswajać nowe wiadomości i umiejętności, a od czasu do czasu sprawdzać ich aktualną technikę, co nota bene wskazane byłoby także przy starszych wspinaczach.”

I ZJAZD DELEGATÓW GOPR

13 i 14 maja 1978 r. odbył się w Zakopanem pierwszy Walny Zjazd GOPR — już jako niezależnej organizacji. 65 delegatów reprezentowało 1072 ratowników pracujących w 7 grupach terenowych. W Zjeździe wzięli udział m.in. minister zdrowia prof. Marian Sliwiński, wiceprzewodniczący GKFFIT, Bogusław Ryba oraz wojewoda nowosądecki, Lech Bafia. PZA reprezentował prezes Andrzej Paczkowski.

Obrodam przewodniczyła Maria Riemen z Grupy Tatrzańskiej, sekretarzem był Otton Szafarz z Grupy Beskidzkiej GOPR. Zjazd podjął uchwałę wyznaczającą główne kierunki pracy GOPR w I kadencji jego władz w latach 1978–82, zatwierdził też projekt statutu organizacji. Dokonano wyboru 25-osobowej Rady Naczelnej i 17-osobowej Komisji Rewizyjnej. Przewodniczącym Rady Naczelnej został Jan Chyliński, zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, wiceprzewodniczącym — Adam Jurczakiewicz, sekretarzem zaś Marian T. Bielecki. Urząd naczelnika GOPR ponownie powierzono Janowi Komornickiemu.

Podczas obrad kilkunastu ratownikom wręczono odznaczenia państwowe. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał najstarszy ratownik, 77-letni Jan Gasienica Tomków, do dziś jeszcze biorący udział w akcjach. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski nadano Michałowi Gajewskiemu, uczestnikowi przeszło 520 akcji ratowniczych.



Dwudziesta rocznica śmierci Wawrzyńca Zuławskiego w masywie Mont Blanc zgromadziła przy tablicy pamiątkowej na cmentarzu w Chamonix przedstawicieli władz i przyjaciół Zmarłego. Stoją od lewej: przedstawiciel Konsulatu PRL, pan Bukala, Juliusz Zuławski, towarzysze Wawy z jego ostatniej drogi, panowie Novel, Germain i Munster, dalej — André Contamine i Tadeusz Wowkonowicz.

Z PRAC UIAA

21 kwietnia 1978 r. odbyło się w Paryżu — z udziałem delegatów 9 państw — posiedzenie Komisji Wypraw UIAA, kierowanej przez Louisa Gevrila (Francja). Komisja ta, utworzona 2 lata temu, ma za zadanie podjęcie próby koordynacji działalności wyprawowej, dostarczenie federacjom bieżących informacji dotyczących

regulaminów, opłat etc. oraz zorganizowanie wspólnego „frontu nacisku” na kraje himalajskie i andyjskie, w celu ujednoczenia przepisów dotyczących wypraw i brania pod uwagę interesów różnego typu przedsięwzięć wyprawowych (jak np. różnicowanie opłat w zależności od charakteru wyprawy). Na zebraniu paryskim omówiono m.in. sprawy: przeprowadzenia wśród federacji ankie-

ty na temat wypraw planowanych na lata 1978–80, zorganizowania sieci oficjalnych korespondentów Komisji w krajach himalajskich i andyjskich, zainteresowania UIAA problematyką medycyny wysokościowej, otwarcia sezonu zimowego w Himalajach. Komisja Wypraw UIAA jest poważnie osłabiona przez brak w niej Japonii (odległość) oraz Austrii i RFN, których federacje

Więści organizacyjne

stwierdziły, że de facto nie mają żadnego wpływu na ekspedycje wyruszające z ich krajów.

22 kwietnia odbyło się również w Paryżu — na zaproszenie Fédération Française de la Montagne — posiedzenie Komitetu Wykonawczego UIAA, w którym udział wzięli wszyscy jego członkowie (13 państw). Zebraniu przewodniczył prezes Unii, Pierre Bossus. W toku kilkunastopunktowego porządku obrad omówiono m. in. bilans Unii za rok 1977 i projekt budżetu na rok 1979, przyjęto też sprawozdanie z kursu instruktorskiego, który pod egidą UIAA odbył się w Chile — z udziałem instruktorów z Francji, Hiszpanii i RFN. Szeroką dyskusję wywołała propozycja zmiany statutu Unii, w którym najbardziej kwestionowany jest punkt mówiący o „stałych” i „niestałych” członkach Komitetu Wykonawczego. Po kilku latach polemik i sondażu uznano, że sprawy zawodów wspinaczkowych pozostają wewnętrznymi sprawami zrzeszeń członkowskich i Unia bezpośrednio nie będzie się nimi zajmowała. Kierownictwu DAV poruczone zorganizowanie kolokwium na temat wprowadzenia VII stopnia trudności.

W obu posiedzeniach Polski Związek Alpinizmu reprezentował niżej podpisany.

Andrzej Paczkowski

FUNDUSZ IM. K. BERBEKI

Nawiązując do notatki zamieszczonej w poprzednim numerze „Taternika” (s. 42), podajemy wyszczególnienie klubów, które do końca kwietnia 1978 r. wniosły wpłaty na fundusz im. Krzysztofa Berbeki za rok 1977. Są to:

KW Bielsko-Biała — 1380 zł
KW Toruń — 1335 zł
KW Gliwice — 2560 zł

KW Katowice — 1233 zł

KW Szczecin — 500 zł

W r. 1977 wpłynęła tylko wpłata KW Warszawa, KW Toruń przekazał pieniądze w dniu 29 grudnia, PZA otrzymał je jednak już w styczniu.

W r. 1977 za rok 1976 wpłaciły należności Kluby Wysokogórskie Trójmiasto, Łódź i Katowice oraz Stołeczny Klub Tatrzański i Krakowski Klub Taternictwa Jaskiniowego.

KW BIELSKO-BIAŁA

30 marca 1978 r. odbyło się Walne Zebranie członków Klubu Wysokogórskiego w Bielsku-Białej, na którym podsumowano jego działalność w latach 1975—77 i dokonano wyboru nowych władz. Funkcję prezesa objął ponownie Jan Weigel, wiceprezesami zostali Zbigniew Burczak i Kazimierz Opyrchal, sekretarzem — Czesław Zamorski, skarbnikiem — Bolesław Janik. W okresie sprawozdawczym Klub zorganizował m.in. 5 obozów w Tatrach Słowackich, oboz w górach Norwegii w 1976 r. (10 uczestników), a także wyprawę „Atlas-77” (15 uczestników, kierownik Jan Weigel). Prowadzono ożywioną działalność szkoleniową, organizując corocznie kurs taternictwa dla początkujących oraz treningowe wyjazdy w skałki. W ramach działalności propagandowej zarówno członkowie Klubu jak i koledzy z innych środowisk wygłosili szereg prelekcji o tematyce alpinistycznej. Klub liczy aktualnie 142 członków.

Bolesław Janik

ALPINIŚCI DYSKUTUJĄ

Pod protektorem prezydenta Austrii, dra Rudolfa Kirchschlägera, OEAV, DAV i AV-Südtirol zorganizowały w zeszłym ro-

ku sympozjum pod nazwą „Wspinanie”. Dyskusje toczyły się w grupach roboczych, obejmując takie tematy, jak „Alpinizm jako sposób życia”, „Wspinaczka a zdrowie”, „Alpinizm a turystyka”, „Rola młodzieży w alpinizmie”, „Alpinizm wycynowy i wyprawowy — wczoraj, dziś, jutro”. 5-dniowy Kongres Alpinistyczny zwołały do Grazu terenowe władze styryjskie. Zjechało się wielu wybitnych alpinistów (m.in. R. Messner, H. Tichy), a na międzynarodową wystawę fotografii wspinaczkowej przysłano 2000 fotogramów z 7 krajów. Dyskusje i preplatane były prelekcjami i projekcjami filmów. Omawiano m.in. takie problemy, jak: „Szanse małych wypraw”, „Wychowawcze funkcje alpinizmu”, „Wspinanie w wieku emerytalnym” itp. Szczególnie żywą dyskusję wywołał temat „Bezpieczeństwo i ryzyko na wspinaczce”.

JUBILEUSZE

● W dniu 26 listopada 1977 r. Klub Wysokogórski Warszawa urządził w sali „Rivieri” uroczystą wieczornicę, poświęconą 50-leciu powstania pierwszej w Warszawie organizacji alpinistycznej — Sekcji Taternickiej AZS. Okolicznościowy referat historyczny wygłosił Andrzej Paczkowski. Kilkunastu zasłużonym taternikom i działaczom nadano członkostwo honorowe Klubu.

● Polski Klub Górski skończył już 20 lat! Zebranie założycielskie odbyło się 14 grudnia 1957 r. a 18 kwietnia 1958 klub został wpisany do rejestru stowarzyszeń i otrzymał osobowość prawną. Wobec obciążenia aparatu klubowego przygotowaniami wyprawowymi, uroczystości jubileuszowe odłożono do jesieni 1978 r.

W radzieckich ośrodkach szkoleniowych po zakończeniu kursu podstawowego odbywa się uroczysta promocja „nowiczków”, połączona z pasowaniem ich na alpinistów. Ceremoniał wjaśnienia pokazuje zdjęcie nadesłane nam z Oszu.

Fot. Iłta Karawaszkin



Paweł S. Rototajew: „K wier- szynom. Chronika sowieckiego alpinizmu”. Wydawnictwo „Fizkultura i sport”, Moskwa 1977; s. 271. Cena 59 kopiejek.

Jak napisał w przedmowie pisarz i alpinista Nikołaj Tichonow, książka ta jest małą encyklopedią radzieckiego alpinizmu, obejmującą całość zagadnień związanych ze zdobywaniem gór — od historii, poprzez system organizacji, aż do takich specyficznych dla radzieckiego ruchu wysokogórskiego spraw, jak „sportiwnoje skałoznanije”. Autor przedstawia początki radzieckiego alpinizmu (za datę przełomową uważa się tu grupowe wejście na Kazbek w r. 1923), następnie przypomina historię pierwszych sportowych wspinaczek na Kaukazie i szturmowanie pamirskich siedmiotysięczników. Obszernie potraktowany jest udział radzieckich alpinistów w walkach z faszystowskim najeźdźcą, zwłaszcza w tzw. bitwie o Kaukaz.

Lata powojenne, to gwałtowny rozwój radzieckiego alpinizmu — nie tylko jakościowy ale i ilościowy. Temu okresowi poświęcony jest rozdział „Na sportowej drodze”. Kolejny szkic — „Wejście na międzynarodową arenę” — przypomina historię wstąpienia Radzieckiej Federacji Alpinizmu do UIAA, współpracę z ośrodkami zagranicznymi i najbardziej znane sportowe dokonania radzieckich alpinistów w Alpach, jak np. rekordowe przejście filara Walkera.

Kolejne rozdziały przynoszą informacje na temat związków alpinizmu z nauką, oraz wykorzystywania tego sportu w gospodarce, np. przez angażowanie alpinistów do wznoszenia obiektów przemysłowych w górach.

Książka P. S. Rototajewa uzupełniona została cennymi aneksami: wykazem zdobywców mistrzostwa ZSRR w poszczególnych klasach w latach 1949—1975, zestawieniem najważniejszych dat rosyjskiego i radzieckiego alpinizmu, spisem czołowych działaczy Federacji Alpinizmu oraz listą mistrzów sportu ZSRR w alpinizmie (zasłużonych i klasy międzynarodowej) oraz zasłużonych trenerów alpinizmu ZSRR.

Andrzej Skłodowski

Christine de Colombel: Les Grands de la montagne. PAC éditions, Paris 1978; s. 212.

W popularnej serii „Wielcy sportu” Christine de Colombel (północna Eigeru, północna Piz Badile, filar Walkera), jedna z tych niezliczonych znakomitości alpejskich, które poznały osobście Tatr, opublikowała interesujący zbiór biografii górskich 33 gwiazd alpinizmu. Z wyjątkiem trzech osób (Loulou Boulaz, Ricardo Cassin i Armand Charlet), których nazwiska związane są z okresem



Christine de Colombel w Tatrach w r. 1974

Fot. Andrzej Paczkowski

lat trzydziestych, wszyscy pozostali to czołowi reprezentanci alpinizmu nowoczesnego i akrobatycznego. Wybór jest oczywiście subiektywny i dokonany sub specie publiczności francuskiej (18 Francuzów i Francuzek, 2 Austriaków, 6 Amerykanów, 3 Włochów, 2 Anglików), co autorka awizuje od razu we wstępie („słyszysz już zgrzytanie zębów tych, którzy nadaremno szukali się w książce”). Notki są różnej objętości (od dwu do kilkunastu stron), różny też jest stopień szczegółowości informacji. Czasem są to tylko impresje o osobowości, ale nigdy tylko suche fakty. Cała ta chrystosowa liczba podzielona jest na trzy grupy: „Wielcy dnia wczorajszego”, „Wielcy dziś”, „Wielcy jutra”, przy czym o kwalifikacji do pierwszej grupy decydowały dokumenty stanu cywilnego: są w niej alpinisci różnych generacji, od Charleta, Cassina i Franco, przez Buhla, Lachenala i Cogan do Harlina, Hastona i Mroza — ci, których już nie ma między nami. Wybierała autorka nie tylko tych, którzy wybili się wejściami ścianowymi, ale także tych, którzy wywarli wpływ na całe środowisko, zajmują — lub zajmowali — w nim pozycję specjalną czy to stylem wspinania, czy „tylko” stylem bycia. Wielki podziw dla dynamizmu polskiego alpinizmu, którego nie kryje ani w tej książce, ani w swej działalności dziennikarskiej, kazał jej na karty „Les grands de la montagne” wprowadzić sylwetki Andrzeja Mroza, pod którego osobistym urokiem do dziś „Colombelka” pozostaje, oraz Wandy Rutkiewicz, którą nazywa „największą bez wątpienia alpinistką naszej epoki, ponieważ jest człowiekiem gór we wszystkim”, podkreślając uniwersalność jej zainteresowań i osiągnięć wspinaczkowych i wyprawowych.

Andrzej Paczkowski

Chris Jones: Climbing in North America. Przedmowę napisał Lito Tejada-Flores. University of Cali-

fornia Press, 1976; s. 390. 196 zdjęć. 8 rycin, skorowidz, piśmiennictwo do każdego z 22 rozdziałów. Cena 14,95 dol.

„4 lipca 1893 roku tłum około tysiąca osób, przybyłych niekiedy z odległości ponad 200 kilometrów, obserwował brawurowe wejście farmerów Willarda Ripleya oraz Wille Rogera na słynny bazaltowy nek Devils Tower. Wejście to, będące ukoronowaniem pikniku, poprzedziło okolicznościowe przemówienie ministra a sztandar Stanów Zjednoczonych wniesiony na szczyt turni obrotni farmerzy sprzedali po 50 centów za gwiazdę i 25 części pasów...”

Jest to sensacyjny fragment obzernej pracy Chrisa Jonesa o rozwoju eksploracji odkrywczej i sportu wysokogórskiego w Ameryce Północnej. Książka ta nie jest wszakże utrzymana w sensacyjnym stylu. Stanowi ona dzieło głęboko analityczne, przedstawiające podłoże niebywałego rozwoju alpinizmu na tym kontynencie. Autor nie poprzestął na wykorzystaniu literatury. Szereg razy przemierzył kontynent wzdłuż i w szerz w celu bezpośredniej konfrontacji z ludźmi, którzy tworzyli historię tego sportu w Ameryce Północnej. Dzięki temu na stronicach książki przewijają się malownicze postacie często w niecodziennych okolicznościach.

Christ Jones, łącząc w sobie walory doskonałego wspinacza (T. 2/77 s. 66, 81) jak również utalentowanego i doświadczonego narratora, a ponadto będąc Brytyjczykiem, co ułatwiało mu obiektywną ocenę przedmiotu, był osobą wyjątkowo upoważnioną do podjęcia tego rodzaju pracy.

W 22 rozdziałach zawarł on najważniejsze momenty z historii alpinizmu północno-amerykańskiego. Czytamy tu o pierwszych porывach w kierunku niebotycznych szczytów na drodze osadników do słonecznym wybrzeżu Pacyfiku, przemierzamy labirynty skalne z topografami i naukowcami XIX wieku, śledzimy pierwsze sportowe wspinaczki w zlodowaczonych górach Kanady, jesteśmy wreszcie świadkami niesamowitego wysiłku nie o drogi już, lecz o warianty na wielkich ścianach w dolinie Yosemite. Wszystko to ułożone systematycznie, przejrzyste lecz również z talentem pisarskim sprawia, że książkę czyta się lekko jak przyjemną lekturę.

Do mankamentów dzieła zaliczam brak schematycznej choćby mapy omawianych terenów, autor mógł też zamieścić chronologiczne zestawienie najważniejszych dat alpinizmu północno-amerykańskiego, co z takim powodzeniem zastosowano w naszej rodzimej serii „W skałach i lodach świata”.

Andrzej Legienis

TATERNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA,
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Redaktor: Józef Nyka

00-750 Warszawa, ul. Nowosielecka 20 m. 18
Tel. 41-07-87

Redaktor graficzny: Janina Tępińska

Adres Redakcji:

00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 1 p. 47
Tel. 25-40-41 wewnątrz 312

Adres Polskiego Związku Alpinizmu:

00-010 Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 439
Tel. 26-69-56

WARUNKI PRENUMERATY:

Cena numeru: 10 zł. Prenumerata roczna — 40 zł,
półroczna — 20 zł.

Prenumeratę krajową przyjmują oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na I kwartał, I półrocze oraz cały następny rok; do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe kwartały roku. Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje składają zamówienia w miejscowych oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub wprost u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% wyższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach ustalonych dla prenumeraty krajowej.

Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych prowadzi na uprzednie pisemne zamówienia Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa-Książka-Ruch”, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28.

WYDAWCA:

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.

Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Biuro Reklam i Ogłoszeń, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 62. Telefon 28-07-82.

Druk: PZG RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Smolna 10/12. Zam. 691. S-23.

NR INDEKSU: 37 901.

NR 2 (239)

1978

CONTENTS

Polish Tatra: a new climbing style (A. Skłodowski)	49
In the St. Elias Mountains (M. Malatyński)	50
Mount McKinley '77 (M. Zachariasiewicz)	52
Great mountain days in the Pamirs (J. Milewski)	53
Successful on Kangchenjunga South (A. Skłodowski)	57
Baintha Brakk (Ogre) climbed (Z. Kowalewski)	58
Chris Bonington discusses with Marek Brniak	59
On Norwegian icefalls (K. Lang)	61
Eiger North face in winter (J. Skorek)	63
Four women and the Matterhorn North face in winter (W. Rutkiewicz, I. Kęsa)	66, 69
High Tatra ridge traversed, 1953 (S. Biel)	72
The ascenders (T. Solicki)	75
Polish caver in Iran and Lebanon (J. Bartyła)	78
Caving in Poland in 1977 (W. W. Wiśniewski)	79
High exploring in Lamprechtsofen cave (A. Ciszewski)	82
News from the Tatra — 85. New routes in the Tatra — 86. Various mountains — 88. Caving — 90. Equipment — 91. Mountain accidents — 93. Organisation proceedings — 93. Books — 95.	

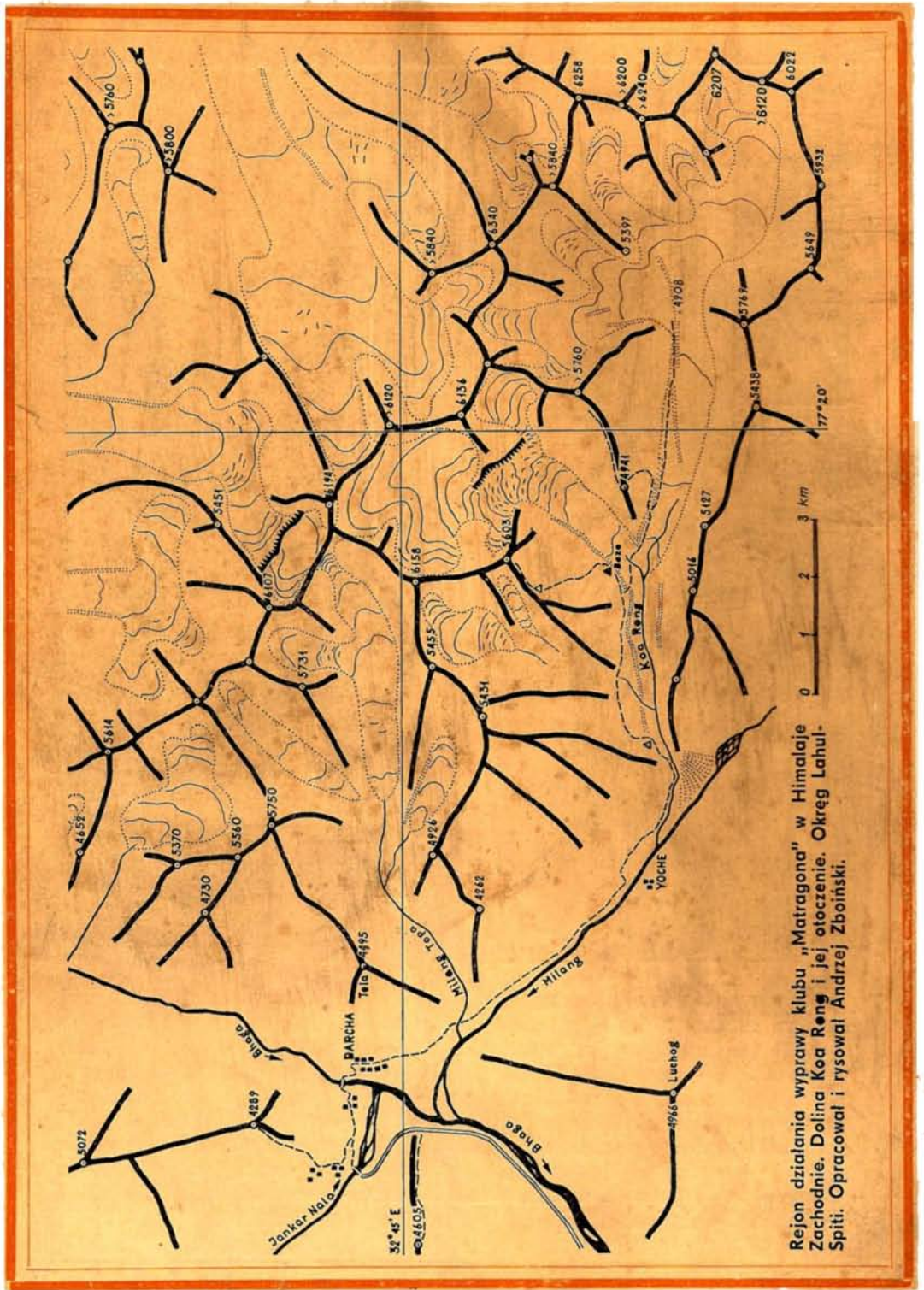
INHALT

So klettert man jetzt in der Tatra (A. Skłodowski)	49
Im St.-Elias-Gebirge (M. Malatyński)	50
Neue Route im Pamir (J. Milewski)	53
Kangchendzönga-Südgipfel bestiegen! (A. Skłodowski)	57
Baintha Brakk (Ogre) (Z. Kowalewski)	58
Gespräch mit Chris Bonington (M. Brniak)	59
Norwegen: Fahrt in die Eisvertikale (K. Lang)	61
Eigernordwand im Winter (J. Skorek)	63
Vier Frauen und die Matterhorn-Nordwand im Winter (W. Rutkiewicz, I. Kęsa)	66, 69
Der Grat der Hohen Tatra vor 25 Jahren (S. Biel)	72
75 Jahre Bergsteigerorganisation in Polen (J. Nyka)	77
Höhlenforschung in Polen — Tätigkeitsbericht 1977 (W. W. Wiśniewski)	79
Lamprechtsofen — die „höchste“ Höhle der Welt (A. Ciszewski)	82
Neues aus der Hohen Tatra — 85. Neue Führen der Tatra — 86. Höhlen und Höhlenforschung — 90. Bergausrüstung — 91. Bergunfälle — 93. Aus dem Organisationsleben — 93. Schriftensschau — 95.	

SKARBY ZE STARYCH ALBUMÓW



Koledzy Zbigniew Jaworowski i Zbigniew Rubinowski udostępnili nam zdjęcia sprzed 25 lat – z I przejścia grani od Kieżmarskiego Szczytu po Krywań (artykuł wewnątrz numeru). Na zdjęciu nr 1 siedzą od lewej Jerzy Honowski, Wiesław Czyż, Stanisław Biel i Marek Stefański. Zdjęcie nr 2 upamiętnia spotkanie ze Zbigniewem Jaworowskim i Henrykiem Bednarkiem – na Furkocie siedzą Stefański, Czyż, Honowski, Biel, Rubinowski (nad Bielem) i Jaworowski. Na zakończenie spotkania została odśpiewana modna wówczas słowacka „Hercegowina” – z salutowaniem imienia Cesarza Pana (zdjęcie nr 3, z prawej Henryk Bednarek). Autorem zdjęć 1 i 3 jest Z. Rubinowski, zdjęcie nr 2 wykonał H. Bednarek.



Rejon działania wyprawy klubu „Matragona” w Himalaje Zachodnie, Dolina Koo Reng i jej otoczenie. Okręg Lahul-Spiti. Opracował i rysował Andrzej Zboński.